

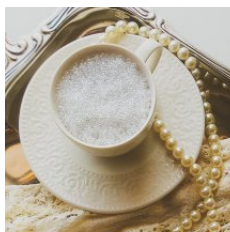


Przystanek Dolny Śląsk

kwartalnik 2(30)/2021 jesień/zima • ISSN 2353-3056



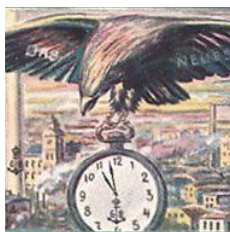
KOLEJ PLUS • KOLEJE AGLOMERACYJNE
KIEŁCZYN • OBORNIKI ŚLĄSKIE • LEGNICA • ŁÓMNICA
ŚWIEBODZICE • KRZYŻOWA • STARE ROCHOWICE • BIELAWA
LUBIN • WAŁBRZYCH • JELENIA GÓRA • ŚWIDNICA • DZIERŻONIÓW

**Wojciech Głodek****NAJSŁYNNIEJSZE PERŁY NA DOLNYM ŚLĄSKU**

Nie wiemy, dlaczego trzydziesta rocznica to rocznica perłowa, ale wiemy, że jedno z najsłynniejszych pereł związane są właśnie z Dolnym Śląskiem. I to właśnie ich historię chcemy Wam opowiedzieć w trzydziestym – „perłowym” – wydaniu kwartalnika. (str.13)

**TRAMWAJ JAK MALOWANY**

Ornamenty roślinne, kinkiety w kształcie kwiatów, zasłonki w oknach, szlachetne drewno oraz mosiądz – tak jeździło się po Wrocławiu na początku XX wieku. Teraz sami możemy się o tym przekonać, bo właśnie zakończyła się renowacja legendarnego tramwaju Maximum z 1901 roku. (str.22)

**Rafał Wietrzyński****FIRMA ZEGAROWA VICTORIA**

Część 8 cyklu o Świebodzickich Spółkach Zegarowych. Victoria początkowo była firmą typowo stolarską, realizującą zamówienia w zakresie skrzyń zegarowych i innych elementów drewnianych na potrzeby świebodzickiego przemysłu zegarowego. (str.52)

PRZYSTANEK DOLNY ŚLĄSK
KWARTALNIK NR 2(30)/2021 (JESIEŃ/ZIMA)

tytuł zarejestrowany w Sądzie Okręgowym
we Wrocławiu Rej. Pr. 3208 ISSN 2353-3056

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

adres redakcji
skrytka pocztowa 2388, 50-131 Wrocław 3
redakcja@przystanekd.pl

Wydawca, Redakcja i Autorzy dokładają wszelkich starań, aby ustalić dysponentów praw autorskich publikowanych materiałów. Osoby, które mogły zostać pominięte proszone są o kontakt z Redakcją.

redaktor naczelny
Wojciech Głodek

współpraca
Iwona Błach, Joanna Dolna, Jolanta Kluba

wydawca
Instytut Dolnośląski
z siedzibą we Wrocławiu
zarejestrowany 20.03.2014 roku w Sądzie Rejonowym
dla Wrocławia Fabrycznej
VI Wydziale Gospodarczym KRS 0000502837
Regon 022395582 NIP 8982207071

adres wydawcy
skrytka pocztowa 2388, 50-131 Wrocław
biuro@instytutdolnoslaski.org



Joel Śluczka

BAD WIESAU NAD ROCHOWICKĄ WODĄ

Bad Wiesau nad Rochowicką Wodą czyli Bolków Zdrój, zapomniane uzdrowisko w Bolkowskiej Krainie Zamków. Przed II wojną światową wieś Wiesau wraz z Uzdrowiskiem św. Jadwigi należała do Gminy Stare Rochowice, najstarszej wsi w dawnym powiecie bolkowskim. (str.41)



ŚLADAMI SMOKA I DIORY

Dzierżonów to spokojne miasteczko u podnóża Gór Sowich, które swoją polską nazwę po 1945 roku dostało dla upamiętnienia ks. Jana Dzierżonia – wybitnego śląskiego badacza pszczół. Miasto do dziś zachowało średniowieczny układ urbanistyczny i warto wybrać się na spacer po nim. (str.91)



Wojciech Głodek

UROCZE LETNISKO Z BELLE EPOQUE

Gdy pierwszy raz tu przyjechaliśmy, to niewielkie miasteczko naprawdę nas zaskoczyło. Przy odrobinie wyobraźni możemy poczuć się tu jak zupełnie jakbyśmy cofnęli się w czasie. Stuletnie wille tworzą niezapomniany klimat letniska z czasów belle epoque. (str.96)



Redakcja zastrzega prawo adjustacji, skracania i opracowania redakcyjnego nadesłanych materiałów. Redakcja nie zwraca nadesłanych materiałów. Wydawca zastrzega prawo przedruku w innych wydawnictwach współpracujących. Wydawca i Redakcja nie ponoszą odpowiedzialności za treść reklam. Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie niezmodyfikowanego wydania kwartalnika na innych stronach www i nośnikach pod warunkiem zachowania bezpłatnego dostępu do niego.



fot. na okładce: Wojciech Głodek
Przystanek kolejowy Jelenia Góra Zabobrze





W numerze również:

- NASZ PATRONAT: *Sekrety Dolnego Śląska, Sekrety Ziemi Kłodzkiej, Głodni obrońcy zamku Czocho* (str.6)
 - Powrót do tamtych dni (str.56):
 - *Ten film to mój coming out* - rozmowa z reż. Konradem Aksinowiczem
 - *To rola na jaką czekałem od dawna* - rozmowa z Maciejem Stuhrem
 - *Chciałam zaapelować, by dawać nam szansę* - rozmowa z Weroniką Książkiewicz
 - *Czym jest syndrom DDA?* - rozmowa z R. Frączkiem i J. Lisotą z PARPA
 - Anna Kawalec, *Parkowa wrona pojednania* (str.107)
 - BEZ SŁÓW: Wojciech Głodek, *Coraz bliżej święta...* (str.117)
 - *Milion dla pałacu w Kielczynie* (str.129)
 - *Turyści nocujący na Dolnym Śląsku* (str.134)
 - *O wielkiej historii w małej wsi* (str.137)
 - *Dolnośląskie muzea* (str.140)
 - *Czy będzie Kolej+ na Dolnym Śląsku?* (str.143)
 - *Dolnośląskie koleje aglomeracyjne* (str.149)
- oraz ***Dolnośląska Biblioteczka*** (str.152)



PRZYSTANEK DOLNY ŚLĄSK



PATRONITE

patronite.pl/przystanekd

POTRZEBUJE WASZEGO WSPARCIA





Czytaj! Dołącz! Polub! Obserwuj!

Instytut Dolnośląski

www.instytutdolnoslaski.org • Facebook@instytutdolnoslaski

Przystanek Dolny Śląsk

www.przystanekd.pl • blog.przystanekd.pl • bedeker.przystanekd.pl • czytanki.przystanekd.pl
Facebook@przystanekd • groups/przystanekd • groups/przystaneksudety • groups/przystanekwroclaw
Instagram@przystanekd • Twitter@przystanekd

Koleją po Dolnym Śląsku

zbiorkom.przystanekd.pl • kolej.przystanekd.pl • kolejapodolnymyslasku.przystanekd.pl
Facebook@zbiorkom • @kolejowepogranicze • groups/zbiorkomd • Twitter@zbiorkomd

Smaki Dolnego Śląska

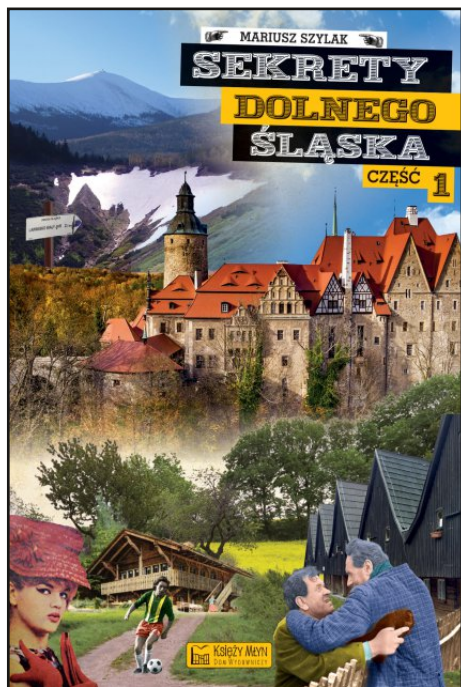
smakidolnegoslaska.przystanekd.pl
Instagram@smacznydolnyslask • Facebook@smakidolnegoslaska • groups/smakidolnegoslaska

Przystanek Uzdrowisko

Facebook@przystanekuzdrowisko • groups/przystanekuzdrowisko

Wydawcą kwartalnika "Przystanek Dolny Śląsk" jest Instytut Dolnośląski. Instytut Dolnośląski to nowoczesna instytucja, która stawia sobie za cel promowanie tej różnorodności. Instytut Dolnośląski jest promotorem atrakcyjności turystycznej, krajoznawczej i kulturowej regionu dolnośląskiego. Podejmuje tematykę poświęconą Dolnemu Śląskowi w jak najszerszym wymiarze, prowadzi działalność wydawniczą, informacyjną, popularyzatorską, edukacyjną, szkoleniową, badawczą i poradniczą. Stara się łączyć tych, którzy są zainteresowani Dolnym Śląskiem – jego historią, społeczeństwem, kulturą, przyrodą i zabytkami.





Mariusz Szylak

SEKRETY DOLNEGO ŚLĄSKA

Wydawnictwo Księży Młyn 2021

ISBN: 978-83-7729-592-2

152 strony, 165x235 mm

oprawa twarda

Od zawsze chodziło o skarby. Wśród zawiłych korytarzy i utajnionych części wznoszącego się nad Kwisą zamku Czocha skradają się rabusie. Nie wiedzą, że gdyby nawet wywieźli wszystko i tak zostanie dużo więcej...

Seria wybuchów budzi ze snu „Olbrzyma”. Tam, gdzie jego korytarze zalane są wodą, naziści chowają swoje skarby.

Twierdza Kłodzko nie zazna ciszy. Drżą tam codziennie, w obawie przed złupieniem, złote i srebrne precjoza, porcelana i królewskie regalia.

Noc także nie przynosi spokoju. Precyzyjni złodzieje wycinają płótna z ram w Auli Leopoldina i rozmywają się w ciemnościach. Czterej pancerni w labiryncie mrocznych korytarzy kłodzkiego bastionu szukają ukrytego ładunku i zapalnika. Tylko w Miedziance cisza... wszystkie skarby zostały zdobyte.

Po Wrocławiu wędruje zawadziaczki Wojacek. Zainteresowanych zaprowadzi na seans w kinie Dworcowym i dla rozrywki powiesi na szelkach szatniarza Klubu Związków Twórczych. Takiej awantury nie powstydzą się nawet Kargul z Pawlakiem, niezmiennie królujący w Dobrzykowicach.



Na kolejnych stronach wiatr hula nawet do 250 km/h. Może dlatego na Śnieżce latają talerze? Nie przekona się o tym Wanda Rutkiewicz, wybierając spokojny nocleg na strychu „Szwajcar-ki”. Jak w każdej historii o skarbach i w tej są ofiary. Do schroniska nigdy nie wrócą turyści wędrujący Białym Jarem, a na Zakręcie Śmierci mgła znowu przysłoni drogę...

Nie zwlekaj!

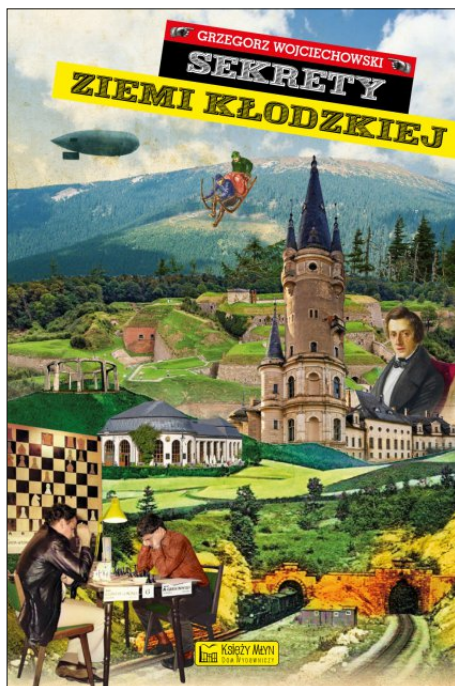
Już teraz rozpocznij poszukiwanie skarbów z Sekretami Dolnego Śląska!

nasz patronat

W gorący sierpniowy dzień 1921 roku w kudowskim Parku Zdrojowym wśród dźwięków orkiestry posępny Bruno Schulz spotyka swoje przeciwieństwo - Cecylię Kejlin. Chwila ta zmienia bieg wydarzeń.

Pesymistyczny Marek Hłasko na życiowym zakręcie wpada do Bystrzycy Kłodzkiej, by stworzyć historię o życiowych rozbitkach.

Obaj jednak mają szczęście, że nie spotkali uwięzionej w kłodzkiej twierdzy uroczej Charlotte Ursinus częstu-



Grzegorz Wojciechowski
SEKRETY ZIEMI KŁODZKIEJ

Wydawnictwo Księży Młyn 2021

ISBN: 978-83-7729-637-0

160 stron, 165x235 mm

oprawa twarda



jacej arsenikiem swoich ukochanych - biedakom nie pomógłby nawet Balsam Jerozolimski!

Na wiadukcie nad szoszą prowadzącą z Dusznik do Kudowy za chwilę wydarzy się wypadek. Skołatane nerwy może ukoić tylko Violetta swym atomowym głosem, ale kibicuje uciekającemu na kolejnych stronach kapitanowi Luxowi. Po chwili jest już jednak zajęta rozwiązaniem zagadki księdza Tomaszka z Cermnej, bo plotka głosi, że był... kobietą!

Na Szczelińcu Franz Pabel tak głośno się śmieje i dowcipkuje, że prze-

szkadza skupionym w Polanicy szachistom. Gdyby tylko wiedzieli, że granicę stara się przekroczyć warszawa pełna złotych sztabek i bransoletek...

Oszołomiony Bruno wzdycha jedynie: *Będzie ta historia ciągnęła się na wielu rozgałęzionych torach i cała przetykana będzie wiosennymi myślami, westchnieniami i wielokropkami.*

Zatem czytanie czas zacząć!

Nie możecie przecież zawieść szpiegów i sabotażystów z kopalni uranu w Kletnie ani poszukiwaczy wrocławskiego złota w Górach Stołowych!

Do nabycia w księgarniach i na www.km.com.pl

Jerzy Kaźmierczyk urodził się w Łodzi w 1932 roku. Już od dziecka chciał grać. Był podwórkowym muzykantem, a w czasie okupacji hitlerowskiej grywał nawet „zawodowo” za pajdę chleba – niekiedy nawet z szynką. Nauczył się grać w szkolnej orkiestrze dętej. Zafascynowany jazzem, który wtedy był muzyką niechcianą przez władze i żyć się z niej nie dało, praco-

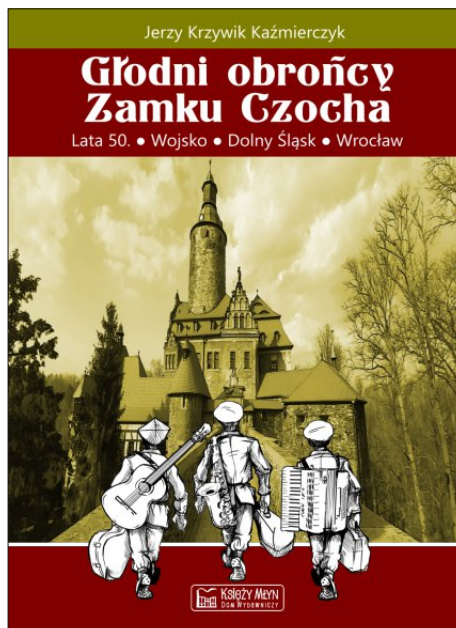
wał w biurze projektów jako projektant. Po pracy grał jazz w „Klubie 77”. Okazyjnie grywał również w Operetce Łódzkiej i Orkiestrze Radia Łódź. Był członkiem orkiestry występującej na Festiwalu Młodzieży w Bukareszcie.

Wojsko Polskie chciało mieć takiego muzykanta i wcieliło obywatela poborowego w swoje szeregi. Trafił na Dolny Śląsk. Grał w Reprezentacyjnej



Orkiestrze Śląskiego Okręgu Wojskowego. Później jako trio muzyczne występował w Domu Oficera we Wrocławiu. Koncertowali wszędzie tam, gdzie Zarząd Polityczny Sztabu widział taką konieczność... polityczną. Zabawiali publiczność, kiedy wojsko tworzyło Rolnicze Spółdzielnie Wojskowe. Grali, kiedy wrocławianie rozbierali ruiny i wysyłali cegłę do Warszawy, kiedy ludność miasta sprzątała swoje ruiny i budowała Kościuszkowską Dzielnicę Mieszkaniową. Występowali na sielankowych zabawach w miejskich parkach, jak też na statku pływającym po Odrze. A ponieważ posiadali też inne talenty, przydzielono ich do Sekcji Propagandowej. Malowali tam obrazy ówczesnych wodzów narodu, ale też – tak przy okazji – realizowali odpłatne zamówienia prywatne.

Przygód mieli wiele, bo byli wszędzie tam, gdzie coś ciekawego się działo. Życie w wojsku to specyficzny system przetrwania. Mówiono nawet, że to takich „Szejków Trzech”, co czytelnik zapewne potwierdzi. Wojskowe Trio Muzyczne przystosowało się i upowszechniało własną filozofię przetrwania, bo byli przecież z Wodnego Rynku w mieście Łodzi.



Jerzy Krzywik Kaźmierczyk GŁODNI OBROŃCY ZAMKU CZOCHA

Wydawnictwo Księży Młyn 2021

ISBN: 978-83-7729-658-5

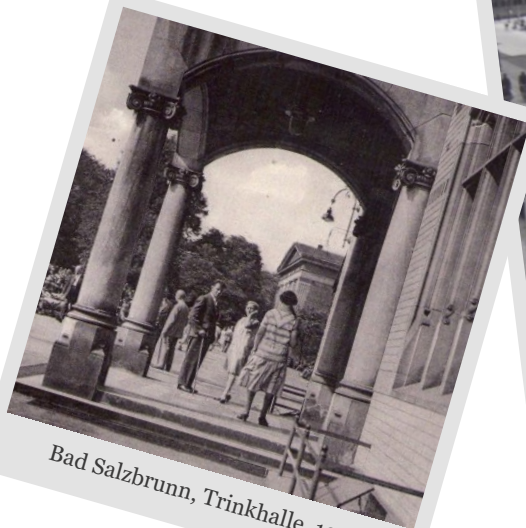
328 stron, 145x205 mm
oprawa miękka



**Wenn du ungezogen wirst
kommt der Wärter angepörscht**

LUDZIE I MIEJSCA

Historię miejsc tworzą ludzie. Swoje piętno na Dolnym Śląsku odcisnęli Polacy, Niemcy i Czesi, dzięki czemu można tu znaleźć - jak nigdzie indziej - ogrom dziedzictwa kulturowego kilku epok i narodów. Piękne zabytki łączą się z niezwykle przyrodą, a historia przeplata się ze współczesnością, kusząc tajemnicami z czasów odległych i tych całkiem bliskich.



Bad Salzbrunn, Trinkhalle, 1930



Breslau, Der Ring, 1930

fot. (x3) nieznany, źródło: Fotopolska.eu/Polska-org.pl





NAJSŁYNNIEJSZE PERŁY NA DOLNYM ŚLĄSKU

tekst Wojciech Głodek

Nie wiemy, dlaczego trzydziesta rocznica to rocznica perłowa, ale wiemy, że jedno z najsłynniejszych pereł związane są właśnie z Dolnym Śląskiem. I to właśnie ich historię chcemy Wam opowiedzieć w trzydziestym – „perłowym” – wydaniu kwartalnika „Przystanek Dolny Śląsk”.

Jak powstają perły? Bardzo ciekawie pisze o tym Piotr Denejko, ekspert i wykładowca na kursach dla rzeczoznawców pereł, na swoim blogu w sklepie gemlord.pl. Przede wszystkim dementuje najpopularniejszą legendę: *piasek nie ma nic wspólnego z narodzinami perły* –

jest wręcz nieprawdopodobne, aby ziarenko piasku mogło taki proces zapoczątkować.

Perły powstają z tkanki nabłonkowej płaszcza małża. Nabłonek oderwany od macierzystej tkanki w procesie regeneracji tworzy zamknięty woreczek perłowy, wewnątrz



którego warstwa po warstwie wzrastać będzie perła. Do powstania perły nie jest więc potrzebny żaden zarodek, chociaż bardzo często jest taki zarodek, wokół którego tworzy się perła, nie jest nim jednak ziarnko piasku, a pasożyt, który zagnieździ się w ciele mięczaka.

Jak opowiada Piotr Danejko na swoim blogu – *wiedzę o tym, iż to nabłonek płaszcz wytwarza masę perłową wykorzystywali już w XII wieku Chińczycy, pozyskując tzw. blister czyli „perłę” przyrośniętą do muszli. Wprowadzali w tym celu fantazyjnie wyrzeźbione jądro (np. figurkę Buddy) pomiędzy muszlę a płaszcz mięczaka perlorodnego. Komórki nabłonka płaszczu, zaprogramowane do budowania muszli, pokrywały owo jądro kolejnymi warstwami masy perłowej zamykając je pod skorupą odzwierciedlającą wprowadzony kształt.*

Najwcześniej perły poławiano na Bliskim Wschodzie, szacuje się, że 70-80% wszystkich pereł naturalnych pochodzi z Zatoki Perskiej. Kolejne znaczące łowiska pereł to ob-

szar między Cejlonem a Indiami oraz Morza Czerwonego i przylegającej do niego Zatoki Adeńskiej.

Do tego miejsca jeszcze wrócimy w tej opowieści. Teraz jednak czas już przenieść się na Dolny Śląsk. A dokładnie – do Wałbrzycha i położonego na jego obrzeżach wspaniałego zamku Książ, który na początku XVI wieku za nieznaną dziś kwotę nabył rycerz Kunze I von Hoberg.

Zamek w rękach jego rodziny, od 1714 roku pisanej już z „ch” pozostał aż do konfiskaty przez nazistów w 1941 roku. Najbardziej znaczący dla posiadłości był okres panowania Hansa Heinricha XV w początkach XX wieku, który przeprowadził tzw. drugą wielką przebudowę zamku wieża osiągnęła wtedy obecne 47 metrów, powstały tarasy w dzisiejszej formie i wybudowana została wałbrzyska Palmiarnia.

Palmiarnia w Wałbrzychu była prezentem Hansa Heinricha XV dla jego pięknej małżonki, angielskiej arystokratki, Marii Teresy Oliwii Cornwallis-West, znanej jako Daisy.



Daisy poślubiła Hansa Heinricha XV, ówczesnego sekretarza ambasady Niemiec w Londynie, w dniu 8 grudnia 1891 roku. Ślub odbył się w londyńskim kościele św. Małgorzaty, a jednym ze świadków był późniejszy król Anglii – Edward VII.

Na miesiąc miodowy para wyjechała do Paryża. I to właśnie w paryskim salonie jubilerskim wiosną 1882 roku Jan Henryk XV kupił żonie sznur pereł o długości 6 lub 7 metrów. Natomiast w 1909 roku słynna fotografka londyńska Rita Martin zrobiła znane wszystkim zdjęcie księżnej Daisy pólężącej na sofie i owiniętej długim sznurem pereł.

Po ślubie Hans Heinrich porzucił karierę dyplomatyczną na rzecz życia dworskiego, ogromnego luksusu, wielkich polowań

i wystawnych przyjęć. Były to najlepsze lata zamku Książ. Przybywali tutaj z wizytami arystokraci niemieccy, angielscy czy polscy, członkowie domów panujących z Niemiec, Anglii, Portugalii, Grecji, Rumunii i Bułgarii, przedstawiciele Habsburgów, Hohenzoller-

fot. James Lafayette, 2 września 1898 roku







nów i Romanowów, wicekról Indii czy hinduski maharadza.

W latach 80. ubiegłego wieku Filip Bajon nakręcił film „Magnat”, a potem jego dłuższą wersję, czyli sześćodcinkowy serial „Biała wizytówka”, opowiadające losy fikcyjnej rodziny von Teussów, której pierwowzorem byli właśnie Hochbergowie. Zarówno film, jak i serial zostały dobrze ocenione przez krytykę i zdobyły dużą popularność wśród widzów. Ta popularność sprawiła, że zaczęły się pojawiać różne opracowania dotyczące rodu Hochbergów i jego dziejów, bardziej i mniej naukowe.

Jedną z tych mniej naukowych była nie pozbawiona sensacyjnych wątków publikacja Andrzeja Koniecznego „Sekrety białej damy”, w której prawdopodobnie po raz pierwszy światło dzienne ujrzała opowieść o perłach księżnej Daisy. Tym razem ich pochodzenie nie było już tak trywialne, jak zakup w salonie jubilerskim w Paryżu. Pojawiła się historia o wyprawie młodej pary nad Morze Czerwone. Perły do naszyjnika były specjalnie wylawia-

ne przez młodych poławiaczy na życzenie Hansa Heinricha, który obsługując wszystko ze statku, coraz bardziej pośpieszał poławiaczy. Jeden z nich miał ostatecznie wynurzyć się z ogromną perłą i umrzeć, przeklinając jeszcze wcześniej księżną parę.

Jak opowiadał na portalu Wałbrzych.DlaWas.info Mateusz Myktytyszyn z Fundacji Księżnej Daisy von Pless – *Historia o śmierci poławiacza została od początku do końca zmyślona, prawdopodobnie właśnie na potrzeby tej publikacji. W 2002 roku dziennikarka Bogna Wernichowska w posłowie do pierwszej edycji „Tańca na wulkanie” – pamiętników Daisy – obudowała tę legendę detalami, przedstawiła ją jako prawdziwą i dodała kolejne wymyślone szczegóły, na przykład dotyczące płucia krwi przez poławiacza.*

Historia o perłach Daisy żyje swoim życiem i znajdziecie ją powieoloną w wielu miejscach. Trafiła także do kultury popularnej. W rodzinie głównej bohaterki powieści



Joanny Bator „Ciemno, prawie noc” na obsesję związaną z Daisy i jej perłami cierpiał ojciec, a wielbicielek księżnej była także siostra, która popełniła samobójstwo. Bohaterka amerykańskiej powieści Alexandry Taylor-Daye „String of Pearls” nabywa legendarny naszyjnik Daisy w antykwariacie, odkrywa jego przeszłość i popada w obsesję na punkcie księżnej. Perłę szuka także legendarny Pan Samochodzik, chociaż nie w oryginalnej serii, ale w jednej z kontynuacji stworzonych przez wrocławską pisarkę Igę Karst.

Historia o perłach Daisy doczekała się także połączenia z tajemnicami zamku Książ z okresu II wojny światowej. Księżna Daisy zmarła w jej trakcie, 29 czerwca 1943 roku. Nie mieszkała już wtedy w zamku, który w 1941 roku za długi podatkowe Hochbergów skonfiskowała III Rzesza. Pogrzeb odbył się 3 lipca, a księżną pochowano w rodzinnym mauzoleum znajdującym się w parku zamkowym.

Już po zakończeniu wojny czerwonoarmiści splądrowali mauzo-

leum w Książu, podobnie jak wiele innych na Dolnym Śląsku. Po tym zdarzeniu dawni służący księżnej zdecydowali się przenieść jej szczątki, aby uchronić przed dalszym bezczeszczeniem. Początkowo pochowa-

Pięcioboczna kaplica grobowa rodu Hochbergów powstała w 1734 roku w Książańskim Parku Krajobrazowym przy południowej bramie do majątku. W 1883 roku została przeznaczona na rodzinne mauzoleum, z tego okresu też pochodzi to zdjęcie. Kaplica pełniła tę rolę do końca II wojny światowej, potem zaniedbana, kilka lat temu została gruntownie odnowiono i udostępniono do zwiedzania (bilet normalny 9 zł) / fot. autor nieznany, źródło: Fotopolska.eu





li je w parku, a następnie przenieśli po raz kolejny, tym razem na ewangelicki cmentarz w Szczawienku, który ostatecznie podzielił losy wielu innych niemieckich cmentarzy na Dolnym Śląsku – został zrównany

z ziemią. Przez jego teren przebiega dziś szerokopasmowa droga.

Wielbicieli tajemnic z okresu II wojny światowej i poszukiwacze ukrytych przez Niemców skarbów bardzo szybko powiązali tę historię







z bezcennym naszyjnikiem z pereł. Daisy miała zostać pochowana właśnie z tym naszyjnikiem i dlatego jej grobu z takim zaangażowaniem szukali żołnierze Armii Czerwonej. Rzeczomo dlatego też dawni Niemiec słujący ukrywali jej trumnę.

Tak naprawdę Daisy prawdopodobnie w chwili śmierci dawno już swojego naszyjnika nie miała. W 1936 roku jeden z synów księżnej, Bolko został aresztowany przez Gestapo w Gliwicach. Jak podaje Barbara Borkowy, autorka książki „Siostry”, wydanej w 2016 roku biografii Daisy von Pless i jej siostry Shelagh Westminster, po aresztowaniu syna księżna Daisy zwróciła się o ekspresową wycenę swojej biżuterii do jednej z wrocławskich firm jubilerskich. Wycena ta zachowała się w Pałacu w Pszczynie, drugiej rodowej siedzibie książąt von Hochberg. Konserwator zabytków z Bielska-Białej, Marta Dąbrowska, badaczka strojów i biżuterii Daisy, przypuszcza, że wtedy właśnie sznur pereł mógł zostać pocięty i sprzedany, aby zapłacić za wyjście Bolka z aresztu.

Mateusz Mykityszyn z Fundacji Księżnej Daisy von Pless w Wałbrzychach.DlaWas.info przytacza jeszcze jedną historię – w marcu 1946 funkcjonariusze UB komisyjnie otworzyli wielki sejf Hochbergów w ówczesnej dyrekcji dóbr książęcych mieszczącej się w pałacu Czerttritzów. (...) w sejfie znajdował się zarówno sześciometrowy sznur pereł, jak i ametystowe kolczyki, diadem, brosza i korona „Hrabiny świętego cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego”, którą Daisy podarował jej teść. Polacy uznali znalezisko za wielki skarb i odjechało ono w kierunku Krakowa, a ślad po nim zaginął. W 2012 roku na wystawie „Od faraona do Lady Gagi” w Muzeum Narodowym pojawiły się ametystowy komplet biżuterii Daisy – kolczyki, diadem i brosza. Wypożyczano je potem dla muzeum w Pszczynie. W latach 70-tych zostały one przekazane Muzeum Narodowemu jako depozyt Narodowego Banku Polski. Możliwe więc, że i pozostałe klejnoty wciąż znajdują się w Polsce. [•]

TRAMWAJ JAK MALOWANY

Ornamenty roślinne, kinkiety w kształcie kwiatów, zasłonki w oknach, szlachetne drewno oraz mosiądz – tak jeździło się po Wrocławiu na początku XX wieku. Teraz sami możemy się o tym przekonać, bo właśnie zakończyła się renowacja legendarnego tramwaju Maximum z 1901 roku. To chyba najpiękniejszy tramwaj w Polsce, a może nawet na świecie – zachwalają miłośnicy. I nie ma w tym chyba żadnej przesady, gdyż wygląd sędziwego wagonu naprawdę przenosi nas w czasy secesji, gdy wszystkie przedmioty były małymi dziełami sztuki.

Wnętrze przed renowacją / fot. Krzysztof Kokot

22 | PRZYSTANEK DOLNY ŚLĄSK 1(29)/2021





– Kursujące codziennie po mieście tramwaje, łączą mieszkańców, zawożą ich do pracy, do szkoły, do domu, do przyjaciół, do rodziny. Tramwaj Maximum także połączył wielu ludzi. Połączył kilka pokoleń wrocławian, połączył przedwojennych oraz dzisiejszych mieszkańców naszego miasta. Jest owocem miłości do Wrocławia i jego pięknej, chociaż trudnej historii. Niczym feniks z popiołów na naszych oczach ze zmurszałego wraku powstało

dzieło sztuki inżynieryjnej początku XX wieku – opowiada Tomasz Sielicki, który koordynował renowację zabytkowego pojazdu.

Odbudowa tramwaju Maximum to projekt w Polsce nowatorski. To pierwsza tak kompleksowa odbudowa czteroosiowego wagonu o konstrukcji drewnianej. Prace na zlecenie Gminy Wrocław koordynował Klub Sympatyków Transportu Miejskiego, który jako głównego wykonawcę zaprosił do współpracy firmę

Wygląd pierwotny tramwaju Maximum





Polmat, prowadzącą działalność w dawnej zajezdni przy ul. Legnickiej. Oto jak historia zatoczyła koło. – *Gdy przed 120 laty wrocławskie tramwaje konne przechodziły elektryfikację, nowy tabor składany był właśnie w tej zajezdni. Wagon Maximum wrócił zatem do tego samego miejsca, by narodzić się powtórnie – dodaje Sielicki.*

Niewiele jest zachowanych do naszych czasów tramwajów tej klasy. Wrocław ma to szczęście, że od teraz może pochwalić się wyjątkowym pojazdem, który – jak mają nadzieję członkowie Klubu – szybko stanie się jednym z jego symboli.

Jest to pierwszy zabytkowy pojazd komunikacji miejskiej we Wrocławiu, któremu przywrócono wygląd z okresu przed II wojną światową. Obfitość elementów dekoracyjnych stanowiła spore wyzwanie, ale dzięki nim każdy pasażer może przenieść się 120 lat wstecz i poczuć atmosferę nadodrzańskiej metropolii tamtych czasów.

– *Wyobraźmy sobie Wrocław tamtych czasów. Niezwykłą urodą*

zachwyca niedawno wzniesiony most Zwierzyniecki. Za chwilę rusza budowa domu handlowego braci Baraschów na Rynku, niebawem przed Uniwersytetem pojawi się fontanna Szermierza, a południe miasta zyska nową wizytówkę – wieżę ciśnień przy al. Wiśniowej. To właśnie epoka, w której nadodrzańska metropolia przechodzi swój rozkwit, czego symbolem były nowe elektryczne tramwaje – opowiada Sielicki.

DIABEŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

Dbłość o detale oraz wierność historyczna stanowiły główną oś projektu. Stąd duży nacisk położono na kwerendy archiwalne, które okazały się bardzo owocne. Zebrany materiał ikonograficzny pozwolił na wierne odtworzenie wcześniej nieznanych elementów.

Największe wrażenie z pewnością wywołają elementy dekoracyjne, jak choćby subtelna ornamentyka roślinna czy też liternictwo. Namalowali je Beata Bugajska i Krzysztof Kłowaty, którzy na co dzień



Tramwaj Maximum podczas I wojny światowej

zajmują się restaurowaniem zabytkowych pojazdów, szczególnie motocykli, działając w stowarzyszeniu Vehiculum Vitae.

– Wszystkie litery, cyfry oraz ornamenty zostały namalowane ręcznie przy użyciu szablonów na podstawie archiwalnych zdjęć sprzed ponad wieku – tłumaczy Kłowaty. – Na burtach pojawiły się

złote cyfry z czarnym cieniem. To znajomy widok dla wrocławian także i dziś, bo obecna czcionka taborowa nawiązuje właśnie do tej historycznej – zaznacza Sielicki.

To nie jedyne elementy dekoracyjne w wagonie. Uwagę przykuwa również efektowny lambrekin o historyzującej formie liścia. To było jedno z najtrudniejszych zadań, gdyż



do naszych czasów nie zachowały się dawne maszyny, które jednocześnie tłoczyły oraz wycinały wzór na blaszki. – *Na podstawie zdjęć zidentyfikowaliśmy dokładnie taki wzór na jednym z zabytkowych tramwajów w Berlinie. Na tej podstawie powstała forma, która wytłoczyła ornament. Po wycięciu trafił on na świetlik* – wyjaśnia Tomasz Sielicki. W ten sposób odtworzono techniki, których nie stosuje się od wielu dziesiątków lat.

Firma Polmat, która w zajezdni przy ul. Legnickiej prowadzi renowację zabytkowych pojazdów – tramwajów, autobusów czy samochodów – może pochwalić się zatem wyjątkowymi zdolnościami. – *Szukamy wzorców w całej Europie, podpatrujemy, jak prowadzi się renowacje pojazdów w Niemczech, Wielkiej Brytanii czy Szwecji. Chętnie sięgamy po tradycyjne materiały czy techniki. Chodzi o to, żeby odbudowa zabytku była jak najbardziej wierna* – mówi Artur Matkowski, właściciel firmy Polmat. Na swoim koncie dolnośląska firma ma

już kilka odnowionych tramwajów i autobusów. Wśród nich są m.in. wrocławskie wagony typu Standard z 1929 roku (Baba Jaga oraz Juliusz), a także dawny warszawski wagon typu C z 1925 roku, który stanowi eksponat Muzeum Inżynierii Miejskiej w Krakowie. – *Równolegle z tramwajem Maximum remontowaliśmy inny kultowy pojazd. To autobus-kabriolet Fredrus* – dodaje Matkowski.

MKNĘŁY PO SZYNACH ZIELONE TRAMWAJE

Każdego wrocławianina zaskoczy kolorystyka tramwaju Maximum. Wagon jest beżowo-zielony z bordowymi i czarnymi akcentami. – Były to tradycyjne barwy spółki Breslauer Straßen-Eisenbahn-Gesellschaft (BSEG, Wrocławskie Towarzystwo Kolei Ulicznej), prywatnej firmy, która od 1877 roku prowadziła we Wrocławiu ruch tramwajów konnych. – *W latach 1899-1901 firma przeprowadziła olbrzymią inwestycję – elektryfikację swojej sieci. Zbudowano wówczas nowe*



zajeżdźnie oraz zamówiono całkiem nowy tabor – aż 150 wagonów silnikowych – opowiada Tomasz Sielicki, który na co dzień zajmuje się historią wrocławskich tramwajów. Sto z nich było krótszymi, dwuosioowymi wagonami, a pięćdziesiąt to właśnie dłuższe tramwaje Maximum. Zabierały one na swój pokład więcej pasażerów – 28 na miejscach siedzących oraz 16 na stojących na dwóch otwartych pomostach. Tramwaje tego typu przeznaczone były do obsługi linii biegnącej od obecnej pętli Krzyki przez ul. Powstańców Śląskich, Świdnicką, Rynek, most Uniwersytecki oraz pl. św. Macieja do Dworca Nadodrze. – Na tej relacji jeździło najwięcej wrocławian, dlatego zakupiono pojemniejsze wagony – wyjaśnia historyk.

Również odtworzone wnętrze przedziału pasażerskiego tramwaju Maximum robią niesamowite wrażenie. Boazeria z elementami mahowiniu, zasłonki w oknach, kinkiety w formie kwiatów – to wszystko pokazuje niezwykle elegancję dawnych wrocławskich tramwajów. – *Praw-*

dziwą sensacją okazały się przesuwne drzwi do przedziału pasażerskiego. Po oczyszczeniu ukazało nam się piękne drewno – orzech amerykański. Jedno skrzydło to oryginalne drzwi sprzed 120 lat. Drugie zostało odtworzone przy użyciu tego samego materiału – opowiada Sielicki. W drzwiach odtworzono okienko konдукtorskie. Spółka BSEG montowała takie okienka już w tramwajach konnych. – Pasażerowie skarżyli się na przeciągi, gdy konдукtorzy sprzedawali bilety podróżnym stojącym na pomostach. Stąd też montaż okienek – dodaje.

W 1911 roku wagon przeszedł na własność miasta, które wykupiło prywatną firmę i wcieliło w strukturę miejskiego przedsiębiorstwa komunikacyjnego – firmy Städtische Straßenbahn Breslau. Wagony przemalowano na białoczerwono, bo takie wówczas były barwy miejskie. W latach 30. XX wieku wszystkie tramwaje czteroosiowe przeszły gruntowną przebudowę. Pojawiły się w nich m.in. zabudowane pomosty,



a okna podzielono dodatkowymi słupkami. Usunięto także wszystkie elementy dekoracyjne. W takim stanie większość wagonów przetrwała II wojnę światową. Na wrocławskich ulicach jeździły do początku lat 60., XX wieku, a potem zostały zezłomowane. Okazuje się jednak, że nie wszystkie...

CUDEM URATOWANY

Jak to się stało, że do naszych czasów dotrwał jedyny egzemplarz tramwaju Maximum? Zawdzięczamy to samym wrocławianom. Pierwszy był Jan Pięta, pracujący jako brygadzysta w warsztatach głównych MPK przy ul. Legnickiej. Wprowadził wiele ulepszeń w taborze tramwajowym i autobusowym. Warto wspomnieć, że był także jednym z twórców autobusu kabrioletu Fredruś. Dzięki jego zamiłowaniu do historii komunikacji miejskiej we Wrocławiu do naszych czasów przetrwał jedyny egzemplarz tramwaju Maximum.

W 1960 roku Jan Pięta odkupił od przedsiębiorstwa nadwozie wy-

cofanego z ruchu wagonu i ustawił jako altankę w swoim sadzie w podwrocławskim Smolcu. To było częste zastosowanie złomowanych tramwajów. Dzięki temu wagony miały szansę przetrwać kolejne lata. Ponieważ pojazd stał na wolnym powietrzu, był narażony na działanie warunków atmosferycznych. Nowy właściciel zmienił też jego wygląd, dostosowując do całkiem nowej funkcji. Dach został pokryty papą, a pomosty częściowo zdemontowano. Okna zostały zaślepione.

Po kilkadziesiąt lat na nietypową altankę przypadkowo natrafili bracia Piotr i Paweł Drabowie, miłośnicy komunikacji z Wrocławia. Wiosną 1995 roku wybrali się na piknik do znajomych do Smolca. – *To było rutynowe rozpoznanie drogi do nieznanego nam miejsca. Znajomy opisał nam, jak dojechać z Wrocławia do Smolca i którądy przemieszczać się na terenie samej wsi: prosto, w lewo, potem znów prosto i za działką, na której stoi taki stary tramwaj, znów skręćcie w lewo* – wspomina Piotr Drab, któ-



rego komunikacja miejska jest wielką pasją. – *Stary tramwaj – ta fraza od razu postawiła mnie na baczność* – relacjonuje Piotr Drab.

Do Smolca pojechał najpierw jego brat – Paweł, który zlokalizował obiekt. Istotnie altanka na jednym z ogródków była zrobiona z nadwozia starego tramwaju. Na pierwszy rzut oka nie wywoływała aż takich emocji, ale później wraz z kolegami miłośnikami komunikacji ustalono: to przecież czteroosiowy wagon typu Maximum. – *Nie było innego wyjścia. Musieliśmy go sprowadzić do Wrocławia. To cud, że tak unikalny pojazd w ogóle zachował się do naszych czasów* – mówi Drab.

W 2005 roku straż pożarna transportowała altankę ze Smolca do Wrocławia. Wagon trafił do hali zajezdni przy ul. Legnickiej i tam czekał kilkanaście lat na remont. Był to jeden ze zwykłych projektów pierwszej edycji Wrocławskiego Budżetu Obywatelskiego. Wtedy udało się zrealizować pierwszy etap – odbudowę nadwozia. – *Przywróciliśmy mu jego pierwotny wygląd z 1901 roku, bo w trakcie wieloletniej eksploatacji wagon przeszedł poważną*

modernizację – opowiada Tomasz Sielicki. Kolejne etapy obejmowały remont podwozia. – *Oryginalne wózki udało się*



pozyskać dzięki miłośnikom z Berlina. Bez nich odbudowa by się nie powiodła. Spory udział w projekcie miał dawny mieszkaniec Wrocław-

wia, Karl-Heinz Gewandt, przedwojenny miłośnik tramwajów oraz konserwator zabytków – dodaje Tomasz Sielicki.



Przenosiny wagonu / fot. Piotr Drab, rok 2005



Projekt odbudowy tramwaju Maximum prowadził Klub Sympatyków Transportu Miejskiego, który w tym roku obchodzi jubileusz dzie-

sięciolecia istnienia. W tym czasie stowarzyszeniu udało się uratować kilkanaście pojazdów komunikacji miejskiej, w tym popularną Enusię



Rozbiórka wagonu / fot. Krzysztof Kokot, rok 2014



z 1960 roku czy też ostatni wrocławski tramwaj przegubowy typu 102Na z roku 1972. – *Renowacja tramwaju Maximum była najbardziej wy-*



magającym projektem. To pierwszy pojazd tej klasy, którym klub się zajmował – opowiada Krzysztof Kołodziejczyk, prezes Klubu Sympatyków Transportu Miejskiego.

Można śmiało powiedzieć, że renowacja tramwaju Maximum to dzieło wrocławian oraz serdecznych przyjaciół naszego miasta. Ta idea połączyła kilka pokoleń miłośników – przedwojennych oraz obecnych mieszkańców. Dzięki ich wysiłkowi Wrocław otrzymał wyjątkową wizytówkę – pojazd wiekowy, a przy tym niezwykle elegancki. – *Pozwoli on przenieść się nam do dawnych czasów i poczuć atmosferę przełomu XIX i XX wieku. Wrocławski tramwaj Maximum to jedyny czteroosowy wagon w Polsce. Zaryzykujemy także stwierdzenie, że jest on również najpiękniejszy na świecie – nie kryje dumy Kołodziejczyk.*

Odbudowa wagonu Maximum trwała siedem lat i została w całości sfinansowana przez Gminę Wrocław. Tramwaj pojawiać się będzie okazjonalnie – podczas największych świąt miasta. Po raz pierwszy tramwaj



można było zobaczyć w sobotę i niedzielę 18 i 19 września 2021 roku podczas Dni Otwartych Zajezdni Popowice we Wrocławiu.

Zajezdnia Popowice w tym roku obchodzi swoje 120. urodziny. Powstała w latach 1900–1901. Było to związane z elektryfikacją linii



Wagon po wstępnym lakierowaniu / fot. Tomasz Sielicki



tramwajów konnych, które działały we Wrocławiu od 1877 roku, ale w 1893 roku zyskały konkurencję w postaci tramwa-



jów elektrycznych. Te wrocławianom bardzo przypadły do gustu i chcieli, by także na liniach tramwajów konnych pojawiły się wozy elektryczne. Po dłuższych przepychankach między władzami miejskimi a przewoźnikiem, czyli Breslauer Straßen-Eisenbahn-Gesellschaft (Wrocławskie Towarzystwo Kolei Ulicznej), obie strony doszły do porozumienia i rozpoczął się proces elektryfikacji. W tym celu nie tylko trzeba było rozwieść drut jezdny nad ulicami, który zapewniał napięcie, ale należało także wymienić tabor i stworzyć nowe zajezdnie. Stare nie spełniały bowiem wymogów obsługi nowoczesnych pojazdów. Poza tym w coraz dynamiczniej rozwijającym się Wrocławiu przez prawie ćwierćwiecze dotychczasowe zajezdnie niepostrzeżenie znalazły się prawie w centrum.

Dla nowych obiektów znaleziono obszerne działki na obrzeżach miasta. Zajezdnię na Popowicach śmiało można nazwać głównym zakładem BSEG po elektryfikacji. Powstał jako pierwszy. Działal już jesienią 1900 roku po to, aby umożliwić montaż nowych wagonów. Zasadniczą część zajezdni utworzyły dwie ceglane przelotowe hale postojowe.



Każda posiadała siedem zamykanych drewnianymi wrotami torów, na których garażować mogło łącznie 56 tramwajów dwuosioowych.

Podczas szóstej edycji Dnia Otwartego Zajezdni Popowice, który w tym roku rozrósł się do dwóch dni, można było zobaczyć obie zabytkowe hale postojowe z początku XX wieku, ale także m.in. dawną łaźnię i kuźnię.

Główną atrakcją imprezy były jednak zabytkowe pojazdy, które na co dzień stacjonują w zajezdni, a teraz zostały wystawione na placu manewrowym przed halami. Do większości można było wejść, zasiąść za kierownicą lub pulpitem i poczuć się jak kierowca lub motorniczy. Na terenie zajezdni wystawione zostały pojazdy z różnych okresów – od niemieckich wagonów z początku XX wieku i z dwudziestolecia międzywojennego przez pierwszy tramwaj polskiej produkcji powstały po II wojnie światowej i pierwszy polski tramwaj szybkiej jazdy po jeden z pierwszych niskopodłogowych autobusów, które były produkowane

w naszym kraju. Najstarszy prezentowany pojazd zbudowano około 1892 roku, zaś najnowsze w końcu XX wieku.

Poza taborem pasażerskim pokazane zostały także wagony techniczne, służące utrzymaniu torowisk i sieci trakcyjnej. Wrocław może bowiem poszczycić się niezwykle bogatą, unikatową kolekcją tramwajów gospodarczych, na którą składają się szlifierki do torów, wagon-opryskacz, wagony służące do przewożenia piasku czy plugi wirnikowe. Najcenniejszy jest tu najstarszy wagon tramwajowy zachowany we Wrocławiu – lora wieżowa z 1892 roku przeznaczona do prowadzenia napraw i konserwacji wprowadzanej wówczas we Wrocławiu sieci trakcji elektrycznej.

Drugim pojazdem, którego restauracja się skończyła jest kultowy autobus „Fredruś”, czyli kabriolet zbudowany na bazie autobusu miejskiego Jelcz 272 MEX. Powstał on w 1974 roku i do 2009 roku woził turystów i wrocławian, często czekając na pasażerów koło pomnika



Aleksandra Fredry na Rynku. Niestety po awarii złe warunki przechowywania spowodowały, że w roku 2020 jego stan był fatalny. Wtedy rozpoczęto remont. Wykonawcą specjalistycznych prac była również firma Polmat Artur Matkowski.

W 2020 roku przeprowadzono remont podwozia. Prace w 2021 roku objęły natomiast całociowy remont nadwozia, które polegało na rozebraniu go do szkieletu, piaskowaniu konstrukcji w celu usunięcia ognisk korozji oraz uzupełnieniu brakujących lub zniszczonych elementów. Oblachowanie ze względu na zaawansowaną korozję i odkształcenia należało wykonać ponownie. Udało się jedynie odzyskać charakterystyczne, obłe narożniki. Po remoncie szkieletu i odbudowie oblachowania nadwozie pomalowano według schematu fabrycznego w barwach miasta Wrocławia.

Ostatnim krokiem było wyposażenie wnętrza pojazdu, co było zadaniem bardzo pracochłonnym. Trzeba było na rynku wtórnym pozyskać całą masę części, których

w autobusie brakowało. W efekcie pojawiła się m.in. szafka za stanowiskiem kierowcy wraz z wygrodzeniem, charakterystyczna lampa do wnętrza pojazdu, a nawet kultowy zegar. Odtworzono także pulpity, który w tym momencie w pełni odpowiada oryginałowi, a także strapy, czyli rozkładane siedzenia w przejściu, dzięki czemu autobus może przewozić dodatkowe 10 osób.

Chociaż możliwe było przywrócenie pierwotnego kształtu autobusu pasażerskiego z zadaszonym przedziałem pasażerskim zgodnie z projektem podstawowym autobusu Jelcz 272 MEX z 1963 roku, to biorąc pod uwagę historię autobusu „Fredrus” i jego wpisanie w historię Wrocławia, Klub Sympatyków Transportu Miejskiego zdecydował, że utrzymany zostanie stan autobusu-kabrioletu z lat 80. XX wieku. W czwartek 16 grudnia 2021 roku nastąpił odbiór prac konserwatorskich realizowanych przy zabytkowym autobusie. [•]

Materiał opracowany przez wrocławski Klub Sympatyków Transportu Miejskiego.

Schneekoppe 1605 Mtr. ü. Meer.

Prinz Heinrichs Baude.

GRUSS dem
aus
RIESENGEbirge.

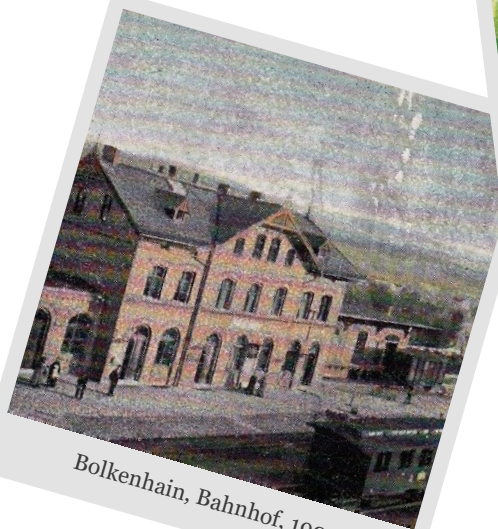
Schneekoppe & Prinz Heinrichs Baude, 1900

Ottmar Zieher Mühlen. — Gesetzt, geschützt.

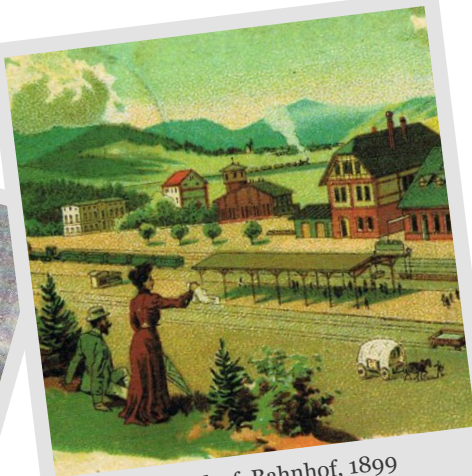


ZAPISKI I WSPOMNIENIA

Wspomnienia i pamiętniki pozwalają pokazać subiektywny obraz miejsc, ludzi czy zdarzeń. Są częścią dziedzictwa kulturowego naszego regionu. Pozwalają zobaczyć czasy bliższe i te bardziej odległe z różnych perspektyw, często bardzo zależnych od osoby, która snuje opowieść. Nic nie jest czarne lub białe, otaczają nas szarości i półtony.



Bolkenhain, Bahnhof, 1905



Merzdorf, Bahnhof, 1899

fragmenty dawnych pocztówek (x3),
autor nieznany, źródło: Fotopolska.eu



Zalane pomiekieckie ujęcie wody na dnie kamieniołomu

40 | PRZYSTANEK DOLNY, ŚLĄSK 4(25)/2019



BAD WIESAU NAD ROCHOWICKĄ WODĄ

tekst i zdjęcia Joel Śluczka

Bad Wiesau nad Rochowicką Wodą czyli Bolków Zdrój, zapomniane uzdrowisko w Bolkowskiej Krainie Zamków. Przed II wojną światową wieś Wiesau wraz z Uzdrowiskiem św. Jadwigi należały do Gminy Stare Rochowice, najstarszej wsi w dawnym powiecie bolkowskim.

Do 1810 roku majątek należał do klasztoru w Krzeszowie, a po sekularyzacji stał się częścią domeny królewskiej. Miejscowość była niewielka, w 1840 roku mieszkało w niej 196 osób.

Na łące w pobliżu starych Rochowic od dawna tryskało źródło,

z którego chętnie piło wodę pasące się w pobliżu bydło, stąd też łacińska nazwa przysiółka Pratum – czyli Łąka. Dopiero w 1833 roku przeprowadzono badania tutejszych źródeł, w wyniku których F. Prudlo stwierdził, że zawierają wapno, sole i siarczany. W 1850 roku królewski urzę-



dnik kameralny, Paul Mertz z Wolbromka otworzył tutaj zakład kąpielowy, którego był właścicielem jeszcze w ostatnich latach XIX stulecia.

Zgodę na publiczne użytkowanie źródła i wzniesienie koniecznych budowli Paul Mertz uzyskał w 1851 roku. Zbudowano wtedy dom zdrojowy i pensjonat. Kolejny pensjonat przejęto w użytkowanie we wsi Wiesau. Uzdrowisko nazwano Hedwigbad (Uzdrowisko Jadwigi).

W uzdrowisku leczono z reumatyzmu, artretyzmu i nerwic. O skuteczności tutejszych źródeł pisała nawet ówczesna prasa np. oberżysta z Jawora, przybył tutaj o kulach, a po czterotygodniowej kuracji jego artretyzm został w pełni wyleczony; również wiele młodych dziewcząt, cierpiących na anemię zdrowiało już po około 24 kąpielach. Oczywiście niektóre doniesienia prasowe mogły być „lekko” przerysowane, ale fak-





tem pozostają lecznicze właściwości tutejszych wód.

W latach 1860-1870 uzdrowiskiem zainteresował się ówczesny powiatowy lekarz dr Sintenis i pozyskał znaczącą sumę od władz w Legnicy na cylindryczną obudowę szybu ociosanym piaskowcem. Niestety

wskutek przenikania wody przez piaskowiec źródło straciło na zawartości minerałów. Mimo to woda była używana z sukcesem aż do wybuchu I wojny światowej do kuracji pitnych i kąpieli leczniczych.

Niestety w późniejszych latach nie uczyniono za wiele aby utrzymać



Na terenie występują nie zabezpieczone studnie



uzdrowisko i zaczęło ono powoli popadać w ruinę.

Od przełomu XIX i XX wieku zakład leczniczy należał do magistratu Bolkowa. W przewodniku po Górach Kaczawskich wydany około 1909 roku znajduje się niewielki inserat o uzdrowisku. Informowano w nim o skromnym, niewielkim zakładzie leczniczym skutecznie leczącym reumatyzm, choroby nerwowe, choroby gardła i kiszek. Polecano to

miejsce jako „idylliczne, romantyczne i sielskie letnisko dla chorych” z pięknym widokiem na Karkonosze oraz doskonale jako punkt wypadowy do zwiedzania obfitującej w stare zamki okolicy.

Sezon uzdrowiskowy w Hedwigbad trwał tylko latem i rozpoczął się najczęściej 1 czerwca. W latach 1937-1938 źródło to urządzono na nowo pod kierunkiem inż. Scherera z Bad Ems.





W „Informatorze na sezon wiosenny 1946” umieszczono wykaz uzdrowisk objętych przez Zarząd Państwowych Uzdrowisk Dolnośląskich. Znalazło się w nim dawne Uzdrowisko Jadwigi, jednak oznaczono je jako nieczynne. Od tego czasu Zdrój ciągle był już „w remon-

cie” lub „w stadium organizacji” i nigdy nie osiągnął powtórnie stanu użyteczności. Mimo różnych planów i kolejnych projektów popada w niepamięć.

W latach 90. XX wieku powstała koncepcja zespołu lecznico-wypoczynkowego „Sanatorium z częścią



Pozostałości fundamentów po rozlewni wody mineralnej



szpitalną”, którego inwestorem miała być Fundacja Polsko-Niemiecka,

a pomysłodawcą było Towarzystwo Miłośników Bolkowa.

1. Charakterystyka lokalizacji.

Opracowany teren leży w starych Rochowicach, w Gminie Bolków. Działka wielkości 7 ha, zadrzewiona lasem mieszanym z przewagą sosny i świerka, o dość znacznych spadkach terenu w kierunku południowym. Na terenie działki występują źródła wód glauberskich co zdecydowało o lokalizacji obiektu sanatorium z częścią szpitalną.

2. Ogólna charakterystyka przedsięwzięcia.

Kubatura – 43 000 m³

Powierzchnia zabudowy – 5 500 m²

Powierzchnia użytkowa – 10 100 m²

Powierzchnia całkowita 12 660 m²

Ilość kondygnacji - dwa pietra

Ilość łóżek sanatoryjnych – 100,

Ilość łóżek szpitalnych – 20,

Sanatorium – schorzenia gastryczne i ruchowe

Szpital – ogólny

3. Charakterystyka rozwiązania przestrzennego.

Całość założenia składa się: z budynku głównego, placu wejściowego z pijalną wód, rozlewnią wód oraz budynków zaplecza technicznego. Kształt poszczególnych elementów obiektu został podyktowany specyficznym ukształtowaniem terenu. Miękkie, owalne kształty budynku nawiązującego do spadku terenu oraz elementy wykończenia zewnętrznego (ciemne drewno, zieleń dachów) wtapiają budynek w otaczającą przyrodę.

4. Opis układu funkcjonalnego.

Przez główną bramę dostajemy się na dziedziniec wejściowy, który wprowadza nas w atmosferę sanatoryjno-wypoczynkową. Wokół tego dziedzińca usytuowano pergolę, pijalnię wód oraz rozlewnię wód z niezależnym dojazdem gospodarczym. Z dziedzińca dostajemy się do holu głównego na poziom przyziemia, gdzie zaprojektowano: część mieszkalno-sanatoryjną, mieszkania służbowe oraz



szpitalną izbę przyjęć z niezależnym dojazdem od strony zachodniej. Z przestrzennego holu schodami głównymi, lub niezależnymi pionami komunikacyjnymi dostajemy się na poziom I, gdzie usytuowano: część mieszkalno-sanatoryjną, jadalnię, klub-bibliotekę, aulę z kawiarnią, kuchnię, pralnię oraz szpital na 20 łóżek z pomieszczeniami socjalnymi i niezbędnym zapleczem. Na ostatnim drugim poziomie zaprojektowano: część mieszkalno-sanatoryjną oraz blok zabiegów leczniczych bezpośrednio połączony z otaczającym terenem.

Niestety projekt, choć bardzo nowoczesny i ambitny, nigdy nie doczekał się



Panorama Starych Rochowic



realizacji.

Badania chemiczne wody mineralnej Bolków-Zdrój wykazują zawartość neastępujących kationów i anionów oznaczonych w mg/litr wody. Są to kationy:

Na – 1215,0;

K – 35,0;

NH₄ – 2,06;

Ca – 430,75;

Mg – 93,34;

Fe – 55,30;

Mn – 0,44.

Natomiast aniony to:

F – 0,50;

Cl – 27,97;

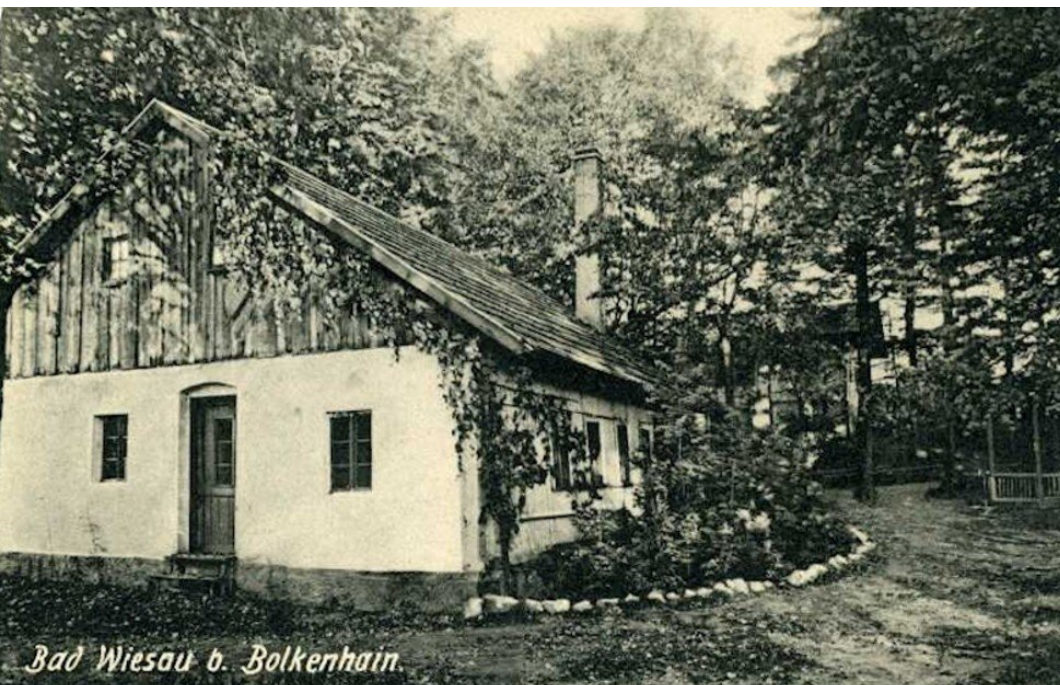
SO₄ – 2013,88;

HCO₃ – 2601,75.

Składniki niezdysonowane to:

H₂SiO₃ - 31,2.

Suma rozpuszczonych składników stałych wynosi 6,5 g. ze składników gazowych stwierdzono CO₂ w ilości 2120,0 mg.





Wody te można określić jako szcawny wodorowęglanowo-siarczanowo-sodowo-wapniowe, żelaziste. Ze względu na ilość posiadanych składników woda ta wykazuje charakter wody glauberskiej.

Obserwacje i badania wartości leczniczych wykonane w Klinice

Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej we Wrocławiu i Ośrodka Naukowym Kliniki w P.P.U. Szczawnie Zdroju wykazały, że woda jest skuteczna w chorobach przewodu pokarmowego a w szczególności w zapaleniu dróg żółciowych i stanach dyskinetycznych woreczka żół-



Wejście do piwnicy nieczynnej rozlewni wody



ciowego, w chorobie wrzodowej żołądka i dwunastnicy, w stanach spastycznych i nieżytych jelita grubego jak również uporczywych zaparciach. Działa również korzystnie w chorobach wątroby (stany po zapaleniu miąższowym), po uszkodzeniu toksycznym w przebiegu zatrucia oraz w uszkodzeniach na tle naczyniowego alkoholizmu.

Z przeprowadzonych obserwacji wynika, że po stosowaniu tej wody tylko 2 razy dziennie po 1 butelce, tzn. 0,66 l stopniowo zmniejszają się lub znikają bóle w okolicy podżebrza prawego, zmniejsza się uczucie wzdęcia u chorych z dolegliwościami woreczkowymi. U chorych z chorobą wrzodową zmniejsza się zgaga i pieczenie oraz zmniejszają się lub też znikają bóle. Stwierdzono też, że normalizuje się stolec. Woda wpływa obkurczająco na woreczek żółciowy, ma ona działanie alkalizujące. Jest natomiast przeciwwskazana przy niedokwaśności żołądka.

Wody mineralne ze źródeł w Starych Rochowicach posiadają

bardzo cenna, prawie unikalną wodę leczniczą mającą zastosowanie w gastrologii. W Polsce zapotrzebowanie na ten typ wód jest ogromne, bo najbliższe źródła wód o podobnym składzie znajdują się dopiero w Karlowych Warach w Czechach lub we francuskim Vichy.

Mimo unikalnego charakteru tutajszych wód, uzdrowisko na terenie Starych Rochowic nie powstało. Nazwa Bolków Zdrój stała się tylko napisem na mapach bez odzwierciedlenia jej w rzeczywistości. Mimo idyllicznego położenia i bogactw, które znajdują się pod ziemią jako omawiane wody mineralne czy też wody termalne, wieś Stare Rochowice nie rozwinęły się jako atrakcja turystyczna i z roku na rok jest coraz mniej ludzi i coraz więcej opuszczonych domów. [•]

Autor jest bibliotekarzem w Centrum Kulturowo-Bibliotecznym Gminy Bolków i miłośnikiem przyrody. Od dziecka mieszka w Starych Rochowicach i interesuje się ich historią. Działacz społeczny. Absolwent PWSZ w Wałbrzychu.





Świebodzićskie Spółki Zegarowe (cz. 8)

FIRMA ZEGAROWA

VICTORIA

tekst Rafał Wietrzyński

**Regulator-Gehäuse-Fabrik
„Victoria“, Freiburg i. Schl.**

Fabrikation von
Regulateur-, Freischwinger-
und Standuhr-Gehäusen, sowie
Pendulen in allen Holzarten

Verkauf nur an Grossisten

W północnej części Świebodzić, przy dzisiejszej ulicy Piaskowej pod numerem 19, miała niegdyś swoją siedzibę niewielka wytwórnia o nazwie *Regulator-Gehäuse-Fabrik "Victoria"*. Pomimo dość długiego okresu funkcjonowania – w porównaniu do innych spółek zegarowych ze Świebodzić – na temat tej firmy nie zachowało się do dzisiaj zbyt wiele informacji.



Victoria założona została w roku 1889. Początkowo była to firma typowo stolarska, realizująca zamówienia w zakresie skrzyń zegarowych i innych elementów drewnianych na potrzeby świebodzickiego przemysłu zegarowego.¹ Sama siedziba firmy znajdowała się nieopodal wielkiego koncernu Gustava Beckera (przy ul. Strzegomskiej), co może świadczyć o tym, że oba przedsiębiorstwa współpracowały ze sobą.

Victoria powstała w dość trudnym okresie dla świebodzickich zegarów. Cały tutejszy przemysł stał u progu wielkiego kryzysu ekonomicznego, który doprowadził do upadłości kilku miejscowych producentów tych przedmiotów. W 1890 roku, wybuchła wojna celna pomiędzy Rosją i Niemcami, która także negatywnie zaważyła na eksporcie na Wschód wszelkiego rodzaju produktów – w tym czasomierzy.

Badacze i kolekcjonerzy zajmujący się dzisiaj zegarami twierdzą, że rozszerzenie działalności i oferty handlowej przez Victorię (chodzi tu o sprzedaż kompletnych zegarów) wymuszone zostało właśnie przez trudną sytuację gospodarczą, a zwłaszcza zamknięcie się rynków wschodnich i wprowadzenia tam rygorystycznych przepisów celnych.

Do dzisiaj też nie udało się ustalić, czy świebodzicka spółka sama produkowała mechanizmy zegarowe, czy też były one sprowadzane od innych producentów i instalowane w skrzyniach Victorii, która w ten sposób, w pełni skompletowane zegary, próbowała sprzedawać pod własną marką.

Niektórzy miłośnicy zegarów twierdzą, że były to mechanizmy zamawiane głównie w firmie „Mauthe” ze Schwenningen oraz u Heinricha Kielmanna (?).² Nie ma jednak na to jednoznacznych dowodów.

1. Znana jest reklama Regulator-Gehäuse-Fabrik "Victoria" z 1900 roku, gdzie reklamowana jest przede wszystkim sprzedaż różnego rodzaju skrzyń zegarowych dla odbiorców hurtowych. Reprodukacja reklamy znajduje się na poprzedniej stronie (ze zbiorów autora).

2. Za: Victoria K.K. Privilegium 5194 (w: www.zegarkiclub.pl)



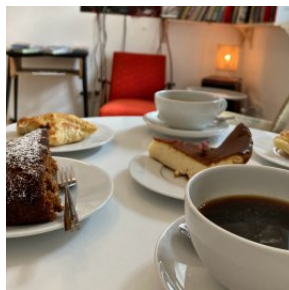
Obecnie nie wiadomo ile udało się wyprodukować kompletnych zegarów w ponad 45-letniej działalności firmy. Victoria nie była dużym przedsiębiorstwem, w związku z tym nie mogła równać się z innymi koncernami ze Świebodzic jak chociażby z H. Endlerem, A. Willmannem czy Germanią. Dlatego dzisiaj przyjmuje się, że mogła ona wyprodukować zaledwie kilka lub kilkanaście tysięcy egzemplarzy.³

Po raz ostatni Victoria, jako w pełni działające przedsiębiorstwo, jest wymieniana w książce adresowej Świebodzic w 1932 roku (*Adressbuch der Stadt Freiburg in Schlesien, 1932*). Niedługo potem, z przyczyn ekonomicznych, ogłoszono jej upadłość. Obecnie uważa się, że firma nie sprostała światowemu kryzysowi gospodarczemu z lat 1929-1935 i została zamknięta w 1934 roku. [•]

3. Z przesłanek pochodzących z niemieckich gazet poświęconych przemysłowi zegarowemu wynika, że w 1907 roku Victoria wciąż była brana za firmę produkującą tylko drewniane obudowy do zegarów.

Budynek przy dzisiejszej ul. Piaskowej 19 – dawna siedziba „Victorii” (ze zbiorów autora).





smacznydolnyslask





POWRÓT DO TAMTYCH DNI

Sentymentalny powrót do złotych lat 90. – gdy młodość miała smak gumy balonowej, szacunek kolegów zdobywało się kolekcją klocków Lego, a wyobraźnię Polaków rozpalały kultowe hity na VHS. To właśnie te niezapomniane realia staną się tłem dla poruszającej i opartej na prawdziwych wspomnieniach historii o rodzinie, dorastaniu i ciemnych stronach każdego z nas. W obsadzie filmu Konrada Aksinowicza („W spirali”): Maciej Stuhr, Weronika Książkiewicz, Katarzyna Warnke, Anna Majcher, Sebastian Staniewicz i debiutujący na dużym ekranie Teodor Koziar.

Jest początek lat dziewięćdziesiątych. Czternastoletni Tomek wraz z matką (Weronika Książkiewicz) mieszka na jednym z wrocławskich osiedli. Podobnie jak wielu rówieśników, chłopiec wychowuje się bez ojca, który wyemigrował do USA. Pewnego dnia jednak Alek (Maciej Stuhr) nieoczekiwanie staje w progu rodzinnego mieszkania. Wraz z nim w życiu Tomka pojawiają się: kolorowy telewizor, klocki Lego, buty Nike i wymarzony magnetowid. Szczęście Malinowskich nie trwa jednak długo, bo wraz z powrotem Alka odżywają dawne problemy. Czy jego bliscy zdołają mu pomóc, zanim będzie za późno?

Film współfinansowany z funduszy Miasta Wrocławia i Województwa Dolnośląskiego poprzez Dolnośląski Konkurs Filmowy. Scenariusz nagrodzony w Konkursie Scenariuszowym Script Pro 2016.



fot. Kacper Chmielowski



TEN FILM TO MÓJ COMING OUT

rozmowa z reż. **Konradem Aksinowiczem**

„Powrót do tamtych dni” oparty jest w dużej mierze na pana historii z młodości, co z pewnością wymagało odwagi. Problem alkoholizmu w rodzinie czy fakt bycia osobą z syndromem DDA to do pewnego stopnia temat tabu?

Myślę, że ten film będzie ważny dla osób, które przeżyły podobne doświadczenia jak ja. To dobry moment, by im pokazać, że nie są w tym sami. Z kolei tym, którzy mieszkają z osobami DDA, a nie potrafiły rozpoznać pewnych zachowań, może udzieli on odpowiedzi na kilka pytań. Chciałbym, żeby osoby współzależnione zdały sobie sprawę, że mogą coś zmienić, powiedzieć stop,

a nawet odejść. Alkoholik, z uwagi na chorobę, często nie może nic zrobić, ale inni już tak. Myślę, że „Powrót do tamtych dni” może być początkiem terapii dla osób, które w ogóle boją się tego słowa. Pewnie wiele osób z syndromem DDA nie zobaczy tego filmu od razu, bo będzie się bało. Zupełnie jak ja, nie oglądając przez jakiś czas „Pod Mocnym Aniołem” Wojciecha Smarzowskiego. Początkowo w ogóle chciałem zrobić film o moim podwórku. Zawsze, kiedy przyjeżdżałem na wrocławski Szczepin, koledzy, którzy tam mieszkają, a wiedzą, że jestem reżyserem, pytali, kiedy opowiem ich historię. Było mi tam naprawdę dobrze. Jednak bez alkoholizmu ojca nie byłoby to pełne.



Jaka jest proporcja pomiędzy paną historią a fikcją w „Powrocie do tamtych dni”?

Sporo jest fikcji. Nie chcę, żeby to była tylko moja historia, a każdej z osób, które się poczuwają. Dedykuję ten film ojcu i na końcu pojawia się moje rodzinne zdjęcie, ale to hybryda prawdziwych zdarzeń i wymyślonych. Widać to chociażby w scenie imprezy urodzinowej, kiedy poznajemy siostrę Alka.

Chciałem w niej pokazać, żeby nie być takim pewnym, że jedynym problemem jest alkoholizm. Tam istnieje głębszą patologia ich relacji i tego, co musiało się dziać w dzieciństwie. Bo najłatwiej zrzuć wszystko na osobę pijącą. Pod pozorem dobrego wizerunku czasem kryć może się wiele złego.

To pana trzeci pełnometrażowy film, ale opowiadał pan o tym po myśle kilka lat temu, kiedy rozmawialiśmy przy okazji premiery „W spirali”.

Scenariusz napisałem dziesięć lat temu. Bałem się robić ten film, bo czułem, że jak zacznę, to mój ojciec umrze. Czułem, że świat jest tak skonstruowany, że kiedy wezmę się za rozgrzebywanie tak poważnych rzeczy, wywołam całą lawinę zdarzeń. W 2015 roku, już po premierze „W spirali”, kiedy urodziła się moja córka i dowiedziałem się od wujka, że z ojcem jest bardzo niedobrze, uznałem, że czas z tym ruszyć. Mocno skróciłem

scenariusz, bo w pierwotnej wersji film miał trwać trzy godziny i opowiadać o dorosłym mężczyźnie z syndromem DDA, który poprzez terapię wraca do tego, co działo się w latach 90. Postanowiłem to jednak zmienić. Już w tej krótszej wersji tekst dostał trzecią nagrodę w konkursie scenariuszowym Script Pro.

Nie ma pan poczucia, że potrzebowal pan do tego dojrzeć nie tylko jako człowiek, ale i reżyser?

Na pewno. Nie mógłbym zrobić tego filmu pięć lat temu. Dużo się przez ten czas nauczyłem. Kiedy urodziło się moje dziecko, zobaczyłem, jak to działa z drugiej strony. Bycie rodzicem to nie takie hop siup. Pewne rzeczy inaczej wyglądają z perspektywy dziecka i dorosłego. Dziecko może jakąś głupotę rozpoznać jako kłótnię, a wcale nie musi tak być. Film nabrał nowego sensu, kiedy zmarł mój ojciec. Zajrzałem wtedy do jego notatek, które prowadził w trakcie terapii. Trafiłem na rzeczy, które nigdy nie przyszłyby mi do głowy. Zastanawiał się tam na przykład, dlaczego ma przestać pić, skoro cały czas ma na to ochotę. Pisał, że ma problem z porozumiewaniem się ze mną. Nie wiedziałem o tym, bo też nigdy mi o tym nie powiedział. Ojciec miał swoje wyobrażenie całej tej sytuacji. To zmieniło charakter filmu. Z roszczeniowego w zdecydowanie bardziej obiektywny. Mogłem się zastanowić nad pytaniem – lepiej mieć ojca pijaka czy



nie mieć go w ogóle? Bo przecież kiedy nie pił, był fajnym, miłym gościem, potrafił kochać.

Widać, że ojciec za sprawą nałogu sprawia swoim najbliższymi ból, ale pokazuje pan to w taki sposób, że próbujemy go też zrozumieć.

On inaczej nie potrafi, to nie jest jego wina. Dla wielu osób może to wydać się kontrowersyjne. Zależało mi na tym, żeby w pierwszej połowie filmu widzieć poczuł się bardzo bezpiecznie. Jak w filmie obyczajowym, którego akcja rozgrywa się w latach 90. Chciałem pokazać, że człowiek miał też swoje życie, ale potem musiał wracać do domu, a niektóre dramaty działy się poza kadrem. Chłopak przychodzi z dyskoteki, dobrze się bawił i nagle się okazuje, że pod jego nieobecność coś się w domu wydarzyło. Nie ma szyby, pojawia się krew. Nagle to mieszkanie staje się strefą wojny. Na początku jest namiastka suspense, a potem przeobraża się to w horror, bo tak to czasami wyglądało.

Czy ten film jest dla pana terapią i zrzuca ciężar z przeszłości?

Kiedy miałem trzydzieści lat, poszedłem na terapię. Tam powstał pomysł, żeby zrobić ten film. Terapeutyczny na pewno był sam proces pisania. Realizowanie go później to raczej takie moje filmowe olśnienie. Pierwszy raz nie oglądałem innych filmów, czułem, że

mam je wszystkie w sobie i ta wiedza pomagała spojrzeć na swoją historię w sposób obiektywny, czyli jak najlepiej ją opowiedzieć. Jeżeli reżyseria polega na obieraniu kierunków, to dla mnie w pewnym momencie one stały się bardzo widoczne. Pomagali w tym aktorzy. Wcielający się w rolę Alka Maciej Stuhr był bardzo otwarty na moje sugestie. Pokazywałem mu nagrane przeze mnie krótkie filmy wideo z moim ojcem, zarówno kiedy był pijany, jak i trzeźwy. Pamiętam, że Maciej był zaskoczony, jaką ojciec miał dobrą dykcję. Nie musiał krzyczeć, żeby robić wrażenie. Ale to nic dziwnego, w końcu ojciec był aktorem. Ten materiał, który amatorsko nagrywałem w latach 90., był szokiem, ale też Maćkowi dużo do roli podpowiedział. Pamiętam, że kilka razy miałem ciarki, bo oni też są do siebie bardzo podobni pod względem fizycznym.

Mam wrażenie, że to taki wybór na kontrze. Choć w zawodowym dorobku Maciej Stuhr ma role dramatyczne, kojarzy się przede wszystkim z komediowym repertuarem. Skąd ten pomysł?

Pierwszym wyborem dla wielu byłiby pewnie aktorzy, którzy grali już alkoholików. Kiedy pomyślałem o Maćku, pojawiały się głosy zwątpienia, że on do tego nie pasuje. Chciałem jednak pokazać, że ktoś, po kim nikt by się nie spodziewał, może być tą osobą. By ludzie zrozu-



mieli, że jeśli ktoś się uśmiecha i jest dobrym sąsiadem, nie oznacza, że w domu nie pije. Inteligentni ludzie mający problem alkoholowy nie muszą posługiwać się przemocą, mają inne sposoby. U mnie na przykład jej nie było. Ojciec nigdy mnie nie uderzył, ale wiedziałem, że może. To napięcie zawsze mi towarzyszyło.

Czyli decyzja związana z powierzeniem roli Alka Maciejowi Stuhrowi związana była z tą przewrotnością?

Oraz z faktem, że fizycznie był bardzo podobny do mojego ojca. Ludzie, którzy go znali i zobaczyli Maćka, byli pod wrażeniem. Potraktowałem ten film bardzo hellingerowsko. Kręciłem go na moim podwórku. Mieszkanie zrobione jest niemal jeden do jednego, znajduje się w nim wiele moich pamiątek. Pamiętam, że kiedy zobaczyłem „Ostatnią Rózię” Jana P. Matuszyńskiego, zafascynowała mnie scenografia. Okazało się, że to mieszkanie jest niemal wzorcowo odtworzone względem pierwowzoru. Na tym też chciałem zbudować spójność w „Powrocie do tamtych dni”. Sam doбираłem przedmioty, jakie mają być w filmie.

Nie dość, że film kręcony był w rodzinnym Wrocławiu, to jeszcze wystąpili w nim pana koledzy z podwórka.

To było ważne, bo wiedziałem chociażby, jak ułożyć kamerę, co mnie interesuje. Pomagało mi to w podejmowaniu decyzji. Poza tym wiedziałem, dlaczego konkretne ujęcia tam są, zależało mi na szczegółach. Na przykład w Peweksie znajdują się oryginalne zestawy Lego z tego czasu. Nie ma tam pudełka z innego roku. Wiem, że każdy, kto w dzieciństwie marzył o takim pirackim statku, to doceni. Nie ukrywam, że robiłem to też dla siebie. Pamiętam, że kiedy w scenie w Peweksie operator dawał ostrość na aktorów, powiedziałem, że chyba zwariował, ona musi być na pudełku (śmiejch).

Trudno złapać dystans do własnej historii?

Przygotowując się do tego filmu, byłem na terapii. Chciałem przed planem móc podyskutować o tym, co się dzieje. Wziąłem też niewielką dawkę leków antydepresyjnych, żeby nie dopadły mnie emocje. Chciałem być obiektywny. I rzeczywiście czułem, jakbym oglądał to przez szybę. Widziałem na planie osoby, które płakały, bo nagle okazywało się, że mają podobne problemy. W styczniu, kiedy zszedłem z leków i zobaczyłem film, łzy same zaczęły lecieć. Wspominałeś o tym, że to mój trzeci film i trochę się przez ten czas nauczyłem. Zacząłem robić drzemki, zainwestowałem w dietę, poprawiłem higienę pracy. To była moja świadoma decyzja, nikt



o tym nie wiedział. W zachowaniu dyktansu pomogła mi jeszcze jedna rzecz. Napisałem do wszystkich moich znajomych z podwórka, których nie widziałem trzydzieści lat. Było tak, że na górze nagrywaliśmy trudne, emocjonalne sceny, a na dole siedzieli moi przyjaciele, z którymi mogłem pogadać. Pozwoliło mi to też trochę się oderwać od tego wszystkiego.

Spotkanie po latach i możliwość wzięcia udziału w filmie to była dla nich duża frajda?

Bardzo, zwłaszcza że wiele z nich widziało się pierwszy raz od czasów dzieciństwa. Jeden z chłopaków mocno mnie zaskoczył. Zaczęliśmy rozmawiać i opowiedział mi, że jego ojciec też był alkoholikiem. Nigdy bym nie przypuszczał, zresztą w drugą stronę było podobnie. Nagle okazało się, że dzielimy tę samą historię. To było niesamowite, że żaden z nas o tym nie wiedział.

W rolę matki wciela się Weronika Książkiewicz. To też w pewnym sensie przełamanie jej dotychczasowego wizerunku.

O Weronice powiedział mi producent filmowy Lambros Ziotas. Spotkaliśmy się i od razu mnie oczarowała swoją osobowością, ale i tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby zagrała tę rolę. Na początku był krótki moment niepewności, bo Weronika trafiła do nas od razu z inne-

go planu i bałem się, że mogę potrzebować więcej prób. W drugim dniu wiedziałem już, że weszła w to totalnie. Weronika zaprzyjaźniła się zresztą z moją mamą, czyli pierwowzorem postaci, wielokrotnie z nią rozmawiała. To w ogóle był bardzo uwalniający film. Kiedy w grudniu zobaczyłem pierwszą układkę montażową, poczułem, że jestem innym człowiekiem. Inaczej myślę, poruszam się po świecie, robię inną muzykę, ponieważ tym też się zajmuję. To dobry znak, bo skoro mnie się to przydarzyło, może to też być nowy początek dla osób, które zobaczą film i przekonają się, że nie są w tym sami.

Na świat spoglądamy oczami trzy-nastoletniego Tomka, w którego rolę wciela się Teodor Kozia. To jego filmowy debiut. Jak pan na niego trafił?

To był długi casting, ale od początku wiedziałem, że chłopiec będzie kluczowy. Pomogło mi doświadczenie ze Szkoły Wajdy, gdzie dwa razy kręciłem jedną ze scen właśnie z udziałem młodego bohatera. Chciałem, żeby wyglądał jak Leonardo Di Caprio w filmie „Przetrwąć w Nowym Jorku” Scotta Kalverta. Za drugim razem Wojciech Marczewski powiedział mi: „Jeśli pierwszy raz do takiej roli wybierasz ładnego chłopca i mówię ci, że to nie działa, to jeszcze rozumiem. Ale jeśli robisz to drugi raz, to coś jest nie tak”. Wziąłem tę uwagę do siebie

i ostatecznie wybrałem Teodora, który na początku był trochę zamknięty w sobie, nieco wycofany. Trudno było z nim zamienić słowo. Kiedy jednak przychodziły sceny z alkoholem, bardziej w niego wierzyłem niż w ładnego, przebojowego chłopca.

Ważne też było to, że Teodor z twarzy podobny był do Weroniki. Z czasem można było z nim bardzo sensownie porozmawiać. Dobrałem mu ekstrawertyków jako przyjaciół, by w pierwszej czę-

ści nieco przykryli jego nieśmiałość. Zresztą już po drugim dniu byliśmy wszyscy w szoku, jak Teodor się odnalazł na planie. Cały czas miał kontakt z psychologiem dziecięcym, więc rozumiał wszystko, co robi. Ćwiczyłem z nim niektóre sceny, ale potem to on podejmował decyzję. Był bardzo świadomy, rozumiał tę postać.

Akcja filmu rozgrywa się na początku lat 90., a więc w czasach



fot. Kacper Chmielowski



niezwykłe barwnych. Z czym one się panu kojarzą?

Na ten świat patrzymy oczami trzynastolatków. Celowo wybrałem ten wiek, bo wszystko wtedy jest na granicy. To moment, kiedy zamiast wymarzonego statku wybieramy filmy na wideo. Kupujemy martensy, zamiast kolejnej pary adidasów. Lata 90. pod względem kulturowym były dla nas przejściowe. Dostaliśmy mnóstwo kolorowego dziażdostwa. Szynka w supermarkecie musiała nagle być zafoliowana, pojawiły się jogurciki, które nagle okazały się raktwórcze, najgorsze soki w kartonie. To był też czas oglądania „Koła fortuny”, „Czaru par”, MTV. Ja z kolei przeszedłem od bycia fanem Depeche Mode do grunge’u. Woląłem założyć martensy niż buty z blachą, podobnie jak moi przyjaciele. Bo w czasie dojrzewania chciałem być z przyjaciółmi, a nie sam.

Lego zawsze było pana pasją?

To była piękna, kolorowa zabawka, która opowiadała o świecie zupełnie inaczej. Dla mnie samo wejście do Peweksu było już czymś wyjątkowym. Pamiętam, jak oglądaliśmy kolejne zestawy. Najważniejsze było to, że z Lego mogłem zbudować dosłownie wszystko. Zostało mi to zresztą do dzisiaj. Pracując nad filmem, złożyłem z Lego całe moje mieszkanie, co bardzo pomogło chociażby przy storyboardzie. Dzięki temu łatwiej było zaplanować wszystkie

ruchy. Cieszę się, że wciąż jest zapotrzebowanie na Lego, że istnieje taki program jak „Lego Masters”. Nie jesteśmy już traktowani jak szaleńcy, którzy spędzają czas nad zabawkami, a postrzega się nas na równi z ludźmi, którzy są w stanie wydać spore pieniądze na przykład na wyjazd na narty.

W ogóle warstwa ikonograficzna – scenografia czy kostiumy – jest, podobnie zresztą jak te lata, w filmie bardzo wyrazista.

Dużo jest smaczków, które ludzie wychowujący się w latach 90. wyłapią. Bardzo mi na tym zależało. Zrozumiałem też, że klocki Lego mogą być rodzajem przekąznika emocji. Przez sześć lat mieszkalem w Australii, gdzie studiowałem w szkole filmowej i okazywało się, że ja w młodości miałem dokładnie taki zestaw jak kolega stamtąd. Ludzie z innych krajów też będą mogli za sprawą tego wspólnego mianownika skonfrontować się z podobnymi problemami. Bo przecież w Niemczech, Rosji czy gdziekolwiek indziej na świecie też jest alkoholizm.

Wspomniął pan o tym, że pana ojciec przywoził wiele rzeczy, a jednym z wątków „Powrotu do tamtych dni” jest nieudana emigracja, która w latach 90. była bardzo popularna.

Miałem dużo Lego, ojciec przywoził fajne płyty, ale też pił. To taki mój powrót



do dzieciństwa. Zachowując wszelkie proporcje, taki mój „Amarcord”. Mój ojciec wyjechał do Kanady w nadziei na lepsze jutro. Plan był taki, że do niego dołączymy. Wrócił po roku i choć przekonywał, że występował w teatrze polonijnym, widziałem zdjęcia, tylko kiedy sprzątał. Jemu jako inteligentowi trudno było się w tym odnaleźć. Dlatego w filmie pojawiło się słowo „mopa”. Nie wiedziałem wcześniej, czym jest mop, a on tego tak nienawidził, że przekładał później na to, co działo się w domu. Sam byłem kilka lat na emigracji i wiem, że nie jest łatwo w chwili, kiedy nie jesteś u siebie i masz pewne ograniczenia. W przeciwieństwie do wielu ludzi ojciec nie miał zupełnie drygu do biznesu. Zainwestował w torby, myślał, że na tym zarobi, ale okazało się to kompletną klapą.

Fakt, że jest pan DDA, był dla pana trudny do zaakceptowania, bo nie jest to sprawa, o której się głośno mówi?

Na podwórku byłem popularny, chciałem, żeby inni mnie lubili, bo kiedy będzie trzeba, wiedziałem, że mi pomogą. Nie czułem się wykluczony ze względu na to, że ojciec pił. Wiem natomiast, co dzisiaj mnie najbardziej niepokoi. To, że

nigdy nie będzie stabilnie, zawsze będę przeżywał górki i doły. Cały czas potrzebuję emocji. Mam już nad nimi większą kontrolę, co jest efektem terapii. Ktoś z syndromem DDA najbardziej boi się konfrontacji z osobą, którą najbardziej kocha. Z drugiej strony, kiedy partner to zaakceptuje, możemy być sobą. Czuję, że nie muszę niczego przed nikim ukrywać. Ten film to trochę taki mój coming out. [•]

Z reżyserem i autorem scenariusza filmu „Powrót do tamtych dni” rozmawiał Kuba Armata.

Materiał powstał w współpracy z Dolnośląskim Centrum Filmowym.





TO ROLA, NA JAKĄ CZekałem OD DAWNA

rozmowa z aktorem Maciejem Stuhrem

Mówiąc o „Pokłosiu”, Andrzej Wajda wspominał kiedyś, że nikt przy zdrowych zmysłach nie obsadziłby Macieja Stuhra w roli chłopca małorolnego. Trzeba było do tego dopiero wyobraźni i odwagi Władysława Pasikowskiego. Czy powierzając panu rolę alkoholika, podobną wyobraźnią i odwagą wykazał się Konrad Aksinowicz?

Pewnie tak, aczkolwiek mam podejrzenie, że w przełamaniu stereotypu szukania aktora, który czysto teoretycznie z kimś takim by się kojarzył, pomocny był pierwowzór mojej postaci. Konrad nie ukrywa, że spora część historii z „Powrotu do tamtych dni” pokrywa się z jego dzieciństwem i postacią ojca, wzglę-

dem którego dopatrzył się we mnie podobieństwa, także fizycznego. Chyba to zadecydowało, by ta postać była też jasna, mimo że dotyka mrocznych zakamarków duszy i choroby.

W jednym z wywiadów powiedział pan, że to rola, na którą czekał pan wiele lat, może nawet całe życie. Co było w niej takiego wyjątkowego?

Myślę, że dla tych, którzy zobaczą film, szybko stanie się to jasne. O ile w przypadku teatru miałem ogromne szczęście spotkać na swojej drodze artystów oraz repertuar nie tylko wykorzystujący moje umiejętności, ale też je rozwijający, tak w kinie, gdzie pracuję dłużej i częściej, cały czas miałem poczucie, że mo-



gę więcej. Czulem, że nie trafiłem jeszcze na taką rolę, która wykorzystywała by szersze spektrum moich możliwości i to, w jaki sposób chciałbym w kinie zaistnieć. Myślę, że właśnie tę szansę dał mi Konrad Aksinowicz w „Powrocie do tamtych dni”.

Konrad podkreślał wspomniane przez pana podobieństwo do swojego ojca, ale opowiadał też, że zależało mu na pracy z aktorem, który z takimi rolami raczej się nie kojarzy.

Wydaje mi się, że jest to wtedy bardziej przejmujące. Widzimy bohatera, z którym można by konie kraść i gdyby tylko jego życie potoczyło się troszkę inaczej, byłby fantastycznym, wartościowym, pełnym energii, inteligentnym człowiekiem. Świat stałby przed nim otworem, a jednak choroba alkoholowa położyła się na tym cieniu. To bardziej działa, niż gdybyśmy od pierwszego ujęcia zobaczyli degenerata. Wydaje mi się, że ta historia nie przemawiałaby wtedy w ten sam sposób.

To w ogóle chyba związane jest z problemem alkoholizmu. Osoby uzależnione często nie sprawiają na zewnątrz takiego wrażenia, prawdziwy dramat rozgrywa się dopiero gdzieś w czterech ścianach.

To prawda, największe tragedie i dramaty kryją się za historiami, których nie

znamy. Jest nawet oficjalne określenie „wysokofunkcjonujących alkoholików”. To osoby dobrze radzące sobie zawodowo czy finansowo, które potrafią chorobę ukryć do tego stopnia, że nikt nie spodziewa się, że mogą mieć problem z tą sferą rzeczywistości. Wbrew pozorom tym osobom często jest jeszcze trudniej wyjść z alkoholizmu czy się do niego przyznać, bo jakby to wyglądało, gdyby taki fajny facet miał nagle powiedzieć, że jest pijakiem.

Ważnym wątkiem dla pana bohatera jest jego emigracja do Stanów Zjednoczonych, bardzo popularna w naszym kraju w latach 90. Amerykański sen okazuje się dla Alka wyjątkowo gorzki, bo nagle inteligent zamiast pracą w radiu zajmuje się sprzątaniem.

Dobrze sportretowana jest tu część polskiej rzeczywistości związana z podróżami za chlebem i zawiedzionymi ambicjami, upokorzeniami z tym związanymi. To nie pomogło w chorobie mojego bohatera, a raczej pogłębiło stan jego frustracji. Dobrze pamiętam ten blichtr Zachodu i marzenia, byśmy mogli dołączyć do grona bardziej rozwiniętych krajów. Pierwsze podróże na Zachód, zachłyśnięcie się wyglądem puszek coca-coli, pełnymi półkami w sklepach. Wywarło to na nas jakieś piętno i ta chęć dołączenia do zachodniego świata w jakimś sensie jest w nas do dziś. Mam



wrażenie, że dla mojego pokolenia szokiem jest to, co się dzieje obecnie w Polsce. Przecież tak bardzo chcieliśmy tego smaku życia, dołączenia do Unii Europejskiej, zbliżenia się z Ameryką.

A teraz zaczynamy się od tego zachodniego wzorca oddalać i trudno się z tym pogodzić. Wydawało się, że to już jest w zasięgu ręki, a teraz nie za bardzo wiemy, co o tym wszystkim myśleć.

Pamięta pan swoje pierwsze wrażenia po przeczytaniu scenariusza „Powrotu do tamtych dni”?

Byłem chyba jedną z pierwszych osób zatrudnionych do tego projektu, jeszcze na długi czas przed tym, zanim stanęliśmy na planie filmowym. Konrad pokazał mi ten scenariusz cztery-pięć lat temu, więc znam wszystkie perypetie wokół powstawania „Powrotu do tamtych dni”. Po przeczytaniu go towarzyszyły mi różne odczucia, dotyczące tego, jak przejęła mnie ta historia. Uważam w ogóle, że są co najmniej trzy powody, dla których warto było ten film zrobić i go zobaczyć.

Jakie to powody?

Po pierwsze, młodzi bohaterowie, prawie jeszcze dziecięcy. Za sprawą świetnego castingu film z ich powodu jest bardzo autentyczny. Ich wiek i specyficzny czas wchodzenia w życie sprawia, że jest tu energia, za którą chce się podążać. To nie jest taki typowy filmowy

„downer”, opowieść wyłącznie o alkoholu. On oczywiście jest w tle i z nim związane są problemy bohaterów, ale to nie jest „Requiem dla snu” Aronofsky’ego, gdzie po dwudziestu minutach człowiek ma ochotę odebrać sobie życie, a w najlepszym wypadku wyjść z sali kinowej. „Powrót do tamtych dni” to film pełen życia, blasku, młodzieńczości, miłości. Tę historię poznaje się oczami nastolatka i kibicuje mu w koleżeńskich perypetiach czy pierwszych randkach. Daje się w nim wyczuć napęd czegoś niezwykle pozytywnego.

To chyba największy sukces Konrada Aksinowicza. Opowiadając trudną historię, ubrał ją w coś tak atrakcyjnego, tak że możemy utożsamić się z bohaterami, trzymamy za nich kciuki i chcemy zobaczyć film do końca. Druga kwestia, która miała dla mnie ogromne znaczenie i myślę, że podobnie będzie z całym moim pokoleniem, to fakt, że jest to fantastyczny portret lat 90. Ekranowy Tomek ma mniej więcej tyle lat, ile ja wtedy miałem. To zatem dokładnie moje dzieciństwo. Grałem w te same gry komputerowe, chodziłem z tatą do Pe-weksu, słuchałem tej samej muzyki, nosiłem podobne ubrania. Pamiętam szok, w jakim byłem, kiedy po raz pierwszy do ręki wziąłem płytę kompaktową.

Tych smaczków jest tu zresztą znacznie więcej. Lata 90. podobno wracają dziś do mody, więc towarzyszyć temu może podobna fascynacja jak oglądaniu po-

pularnego serialu Netfliksa „Stranger Things”.

A trzecia rzecz?

To, od czego zaczęliśmy rozmowę, czyli rola, na jaką czekałem od dawna. Wiedziałem, że to dla mnie wielka szansa,

ale i wyzwanie, bo nie będzie łatwo tego zagrać w przekonujący sposób. Mówiąc zupełnie wprost, już studenci szkoły teatralnej wiedzą, że granie pijanego jest jednym z najtrudniejszych aktorskich zadań. Wszyscy umiemy wygłupiać się, jak taka osoba mówi czy się zachowuje,



fot. Kacper Chmielowski



ale jednak odegrać to – oczywiście na trzeźwo – w sposób, by widz w to uwierzył, nie jest taką prostą sprawą.

To stanowiło od strony technicznej największe wyzwanie w roli Alka?

Na pewno, zwłaszcza w scenach największych hardkorów. Stosowałem różne techniki, łącznie z tym, że przed niektórymi ujęciami wykonywałem niemalże taniec derwisza. Wirowaniem przez kilka minut przed ujęciem wprowadzając swój błędnik w obłąd, żeby przekonać widza do autentycznego zachwiania równowagi.

Jest w tym pewien paradoks, bo osoba pijana stara się za wszelką cenę udawać trzeźwą.

Dokładnie, to zresztą podstawowy błąd, jaki popełniają niedoświadczeni aktorzy albo kabareciarze, udając pijanych. Tymczasem prawdziwy pijak udaje trzeźwego, robi wszystko, żeby nikt się nie zorientował, że jest pod wpływem, i tylko w niuansach widzimy, że coś z nim jest nie tak.

Wspomniął pan o począt-

ku lat 90., kiedy rozgrywa się akcja „Powrotu do tamtych dni”. Towarzyszy panu poczucie nostalgii za tamtymi czasami, które zresztą obecnie jest w filmie?

Wszyscy tęsknimy za krainą dzieciństwa. Ten czas niezwykle mocno wrył nam się w pamięć. Wiąza się z nim pierwsze razy w różnych dziedzinach życia, które miały swój niepowtarzalny smak.





Nawet jeśli z dzisiejszej perspektywy te czasy wydają się trochę śmieszne, ludzie mieli dziwne fryzury i chodzili w skreczowych dresach, to mimo że czasem łapiemy się za głowę, uśmiechamy się do tego. Z ogromnym sentymentem i wzruszeniem traktujemy tę krainę dzieciństwa.

Marzeniem pana ekranowego syna jest piracki statek z Lego, który można było kupić w Peweksie. A pan z czasów swojego dzieciństwa miał jakieś peweksowe marzenia?

Jasne, że tak. Zresztą bardzo dokładnie pamiętam swój pierwszy zestaw klocków Lego z Peweksu. To była stacja ben-



fot. Kacper Chmielowski



zynowa, zresztą jednej z sieciówek, które dzisiaj są w Polsce. Wtedy to był powiew Zachodu, żeby taką markę móc w ogóle zobaczyć. Czy te wszystkie smaczki związane z latami 90. kostiumy, kasety wideo, kolorowe torby, zestawy Lego, pomagały w budowaniu roli? Oczywiście, bo w dobrej scenografii aktor funkcjonuje zupełnie inaczej. Najbardziej pomagało mi jednak to osobiste doświadczenie Konrada, o którym rozmawialiśmy. Byłem niezwykle czujny na to, jak on pamięta tamten czas, jakie wrażenia, emocje towarzyszyły tym wydarzeniom. Zresztą nie pierwszy raz miałem takie doświadczenie. Podobnie było z Małgością Szumowską w przypadku „33 scen z życia”.

Jeżeli reżyser opowiada tak intymną i osobistą historię, trzeba mieć większy radar skierowany na to, co wtedy widział, pamięta i co z tego chce dzisiaj opowiedzieć. To jest ważniejsze od scenariusza, rekwizytów, a nawet od partnerów, którzy dla aktora też oczywiście są niezwykle istotni. Mam wrażenie, że jeżeli reżyser dopuszcza już nas do takiego poziomu intymności, to jest dla aktora panem i władcą.

Silą rzeczy nie mógł pan skonfrontować się z pierwowzorem postaci, ale wiem, że Konrad pokazywał panu pamiętniki ojca z tamtych

czasów, gdzie pisał o swoich stanach emocjonalnych, przemyśleniach. Co pan w nich zobaczył?

Pamiętniki były ważne i sporo mi dały. Zwłaszcza uwagi związane ze stanem jego umysłu i samoświadomością. Najważniejsze były jednak materiały wideo, które Konrad jako mały chłopiec, po otrzymaniu kamery, rejestrował. Zobaczyłem na nich w gruncie rzeczy radosnego, fajnego faceta, który jest mocno chory. Miałem poczucie, że zbliżyłem się do niego i gdzieś go zrozumiałem.

Weronika Książkiewicz, czyli pana ekranowa żona, opowiadała, że choć mieliście obok siebie garderoby, to w pewnym momencie, zwłaszcza kiedy kręciliście sceny cugu alkoholowego Alka, raczej się na korytarzu mijaliście, a nie spędzaliście razem czas.

Kiedy pracuje się na planie, pewne relacje przechodzą na życie prywatne. Mimo że bardzo lubimy się z Weroniką i cieszę się, że dostała szansę zagrania tej roli, cień niezręczności wynikający z relacji między bohaterami przechodzi też czasem na aktorów. I warto z tego korzystać. To w ogóle było nasze najważniejsze zawodowe spotkanie i mam nadzieję, że ten film nie nadszarpnął naszych świetnych wieloletnich relacji.



Zaczynał pan od działalności kaba- retowej, która przełożyła się na ro- le w komediach, z czasem przeła- mywane repertuarem dramaty- cznym. Trudno aktorowi „wyjść” poza swój wizerunek?

Rzeczywistość odpowiada na to pytanie. Dla wielu aktorów jest to bardzo trudne. Wszyscy się tego boją. Każdy, kto w jakiś sposób zaistniał, chce pokazać publiczności jak najszerze spektrum swoich możliwości. Właściwie od początku zawodowej drogi robiłem wszystko, by nie stać się niewolnikiem swojego wizerunku. Zaczynałem od rozrywki, kabaretu, ról komediowych. Jeśli prześledzić moją drogę w filmie i teatrze, mimo że wciąż uwielbiam rozśmieszać ludzi, włożyłem wiele wysiłku, żeby na tym nie poprzestać. Jednak nie wystarczy tylko chcieć. Trzeba coś robić i w odpowiednim momencie, umieć powiedzieć pas niektórym propozycjom. Jeżeli przyjmie się ich za dużo, to będzie kłopot. Ważne jest też szczęście, by zasłużyć sobie na zaufanie reżysera, producenta i widza, by obok tego, że jest się kabaretowym wesołkiem, móc zagrać seryjnego mordercę czy alkoholika.

Dla pana takim przełomem było chyba spotkanie w teatrze Krzysz- tofa Warlikowskiego?

Z pewnością to było najważniejsze spotkanie w moim artystycznym życiu i właśnie dzięki temu, że u niego miałem okazję pokazać się w poważnym repertuarze, inni reżyserzy, w tym filmowi, nabrali odwagi do obsadzania mnie w takich rolach.

Czy grając taką rolę jak w „Powro- cie do tamtych dni” – męża, ojca, głowy rodziny, a jednocześnie ciężkiego alkoholika, myśli się też o swoich bliskich czy raczej stara się do tego zachować dystans?

Paradoksalnie powiem, że jedno i drugie. Nie można zbyt mocno mieszać życia z fikcją, bo to może źle wpłynąć na psychikę aktora. Z drugiej strony właśnie Warlikowski nauczył mnie, że warto korzystać ze swoich doświadczeń, emocji, problemów i przede wszystkim słabości, by opowiadać światu historie o ludzkich przywarach. Wtedy jest szansa, że widz w to uwierzy, złapie jakąś nić porozumienia, empatii. Rola Alka nie ukazuje chwalebnej części rzeczywistości i trzeba było odezwać się do swoich demonów, żeby móc się z nią zmierzyć. [•]

Z Maciejem Stuhrem, odtwórcą roli Alka w filmie „Powrót do tamtych dni” rozmawiał Kuba Armata. Materiał powstał we współpracy z Dolnośląskim Centrum Filmowym.



CHIAŁAM ZAAPPELOWAĆ, BY DAWAĆ NAM SZANSĘ

rozmowa z aktorką Weroniką Książkiewicz

Pomysł, by zagrała pani jedną z głównych ról w „Powrocie do tamtych dni” wyszedł od producenta filmowego Lambrosa Ziota-sa. Z reżyserem Konradem Aksinowiczem wcześniej się nie znaliście, ale już na pierwszym spotkaniu był pewien, że to dobry pomysł.

Pomysłodawcą rzeczywiście był Lambros Ziotas. Zadzwonił do mnie, zapytał czy byłabym zainteresowana i czy może przesłać mi scenariusz. Podjęcie takiego kroku z jego strony było dużym ryzykiem, bo do tej pory grywałam głównie w komediach romantycznych. Wybór ten nie wydawał się do końca oczywisty. Na spotkanie z Konradem poszłam po

pierwszym czytaniu scenariusza. Tekst mną wstrząsnął, do tego stopnia, że po przeczytaniu przez jakiś czas byłam w szoku. Co wiązało się też pewnie z faktem, że mam syna w podobnym wieku i wyobrażałam sobie cały czas małego chłopca oraz to, co musiał przeżywać. Pamiętam, że idąc na spotkanie z jednej strony byłam wstrząśnięta, z drugiej - miałam ochotę przytulić Konrada, który był pierwowzorem młodego bohatera. Ta rola była dla mnie dużym przeżyciem. Cały czas z tyłu głowy miałam tego chłopca, który jest zupełnie sam, a w dodatku jego matka, nie mogąc sobie poradzić, obarcza go sytuacjami związanymi z problemem alkoholowym ojca.



Wspomniała pani o wizerunku, w jakim do pewnego stopnia funkcjonuje. Trudno wychodzi się z aktorskich szufladek?

Na pewno łatwo w nie wpaść, ale nie czuję, żeby to był dla mnie problem, że jestem tak, a nie inaczej postrzegana. Zdaję sobie sprawę, że to konsekwencja moich wyborów do robienia podobnych rzeczy. Akcja wywołuje reakcję. Chciałabym jednak zaapelować do reżyserów czy reżyserów castingów, by dawać szansę i poświęcić choćby chwilę na spotkanie czy zdjęcia próbne aktorom kojarzonym z komediami, bo oni wcale nie są gorsi. Role komediowe w kinie, telewizji czy teatrze są równie trudne i trzeba mieć taki sam warsztat jak w przypadku kreacji dramatycznych. Czasem wystarczy dać nam parę minut i pokażemy, że też potrafimy inaczej, bo kończyliśmy te same szkoły. Warto dać szansę i nie obsadzać kierując się pewnym schematem.

Z Maciejem Stuhrem, który wcielił się w rolę pani męża spotkaliście się wcześniej na planie... komedii romantycznej, czyli „Planety singli”. Choć to dwa różne bieguny, czy było to ważne doświadczenie w kontekście pracy przy „Powrocie do tamtych dni”?

Śmialiśmy się z Maciejem, że niby gramy w tych samych filmach, jak w przypadku „Planety singli”, a praktycznie

w ogóle nie mamy razem scen. Zналиśmy się dobrze, ale nie byliśmy do tej pory zaangażowani w tak bliską współpracę. W przypadku „Powrotu do tamtych dni” w pewnym momencie wydarzyło się coś ciekawego. Kiedy zaczęło się kręcenie scen cugu Alka, mimo że mieliśmy garderoby obok siebie, na korytarzu trochę się omijaliśmy. Każdy funkcjonował w swoim świecie.

Czy ta rola, z perspektywy rodzica, miała inny wymiar i poruszyła w pani dodatkowe struny?

W moim przypadku na pewno. Czułam też wyzwanie, bo z jednej strony będąc mamą wiem, że chroniłabym dziecko jak tylko mogę, z drugiej - wcielając się w tę postać musiałam ją zrozumieć i obronić. We krwi mamy to, że bardzo łatwo kogoś oceniamy. Każdy człowiek ma jednak swoją historię. Nie jest tak, że ktoś jest z gruntu zły albo wspaniały. Mamy wiele kolorów, a to co się dzieje w naszym życiu determinuje kolejne zachowania. Żał mi było mojego ekranowego syna Tomka, ale musiałam też zrozumieć swoją postać, czyli jego matkę. Fakt, że jestem nią też w prawdziwym życiu uruchamiał dodatkowe emocje. Niesamowitym doświadczeniem było dla mnie to, że mogłam spotkać pierwowzór swojej bohaterki, czyli mamę Konrada. Pierwszy raz w mojej dotychczasowej pracy miałam taką możliwość. Postać, którą widzimy na ekranie nie



jest jej wiernym odtworzeniem, ale sam fakt spotkań, rozmów pozwolił mi lepiej tę postać zbudować, a przede wszystkim ją zrozumieć.

Zrozumienie jest ważną kategorią „Powrotu do tamtych dni”, bo nie ma w tym filmie oskarżycielskiego tonu względem pani ekranowego męża Alka. Padają nawet słowa, że to fajny facet, dobry ojciec, tylko pije.

Alkoholizm pokazany jest tu jako choroba. Takie podejście dominuje w za-

chowaniu zarówno mojej bohaterki, jak i Tomka, zwłaszcza kiedy zaczynał się cug pijacki Alka. To bazowało na schemacie, że teraz musimy przynieść mu alkohol, wszystko wynieść, zrobić z mieszkania sanatorium. On się napije, zmęczy i mu przejdzie. Już nie raz przecież tak robiliśmy. To było typowe traktowanie go jak osoby chorej. A w tym wszystkim jest także niestety współzależnienie.

Ma pani poczucie, że w przestrzeni publicznej alkoholizm dzisiaj



fot. Kacper Chmielowski



traktowany jest właśnie jako choreba? I że takim ludziom należy raczej starać się pomóc a nie piętnować czy wyśmiewać?

Kilka osób widziało nasz film przed premierą. Duże wrażenie zrobiło na mnie to, jak wiele z nich się po nim otwiera i przekonuje, że u nich w rodzinie było podobnie. To poruszające, kiedy ludzie mogą utożsamić się może nie tyle z konkretnym bohaterem, ale z całą sytuacją i problemem alkoholowym. To słowo wciąż łączy się z poczuciem wstydu, tym że nie chce się o tym zbyt wiele mówić. Niemniej coraz więcej osób, także w naszej branży, potrafi się przyznać, że jest czy było alkoholikiem i opowiedzieć o konsekwencjach, jakie się z tym wiązały. Na pewno publiczna percepcja tego problemu zaczyna się zmieniać.

„Powrót do tamtych dni” jest bardzo osobistym filmem, gdzie historia reżysera miesza się z elementami fikcyjnymi. Czy pani w bliższym bądź dalszym otoczeniu doświadczyła podobnych problemów czy jednak była to zupełnie nieznamna materia?

O wielu takich historiach słyszałam, podobne widziałam. Choć trudno je ze sobą porównywać. Problem co prawda jest jeden, ale historie ludzi są inne. Tym co prowadziło mnie przez tę rolę było pytanie - ojciec jest chory, ale co z matką? Próbowałam zrozumieć tę postać i jej

relację z synem, w większym stopniu niż zagłębianie się w chorobę alkoholową. Mam wrażenie, że były takie dwa obozy. Maciek Stuhr rozpoznawał świat alkoholika, podczas gdy ja starałam się zrozumieć kobietę, która bardzo kocha swojego syna. Choć to wszystko działo się w obrębie rodziny, te wątki trochę się rozchodziły.

Co w tej rodzinnej relacji z pani perspektywy było najtrudniejsze dla pani bohaterki?

Chyba to, że ona nie do końca potrafi istnieć w pojedynkę. Nie wyobraża sobie, żeby to wszystko nagle zostawić. Co prawda cieszy się, kiedy Alek wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, ale jednocześnie nawet wtedy czuje, że przynależy do mężczyzny i rodziny. Budowałam rolę na tej zależności. Patrząc na historie różnych kobiet ten schemat powtarza się bardzo często. Nie musi dotyczyć problemu alkoholowego, może być związany też z przemocą. Mówi się o uniezależnieniu kobiety, o tym że jesteśmy coraz silniejsze i przejmujemy rolę mężczyzn, ale jest też bardzo wiele kobiet, które są gnębione psychicznie przez mężczyzn i wmawia im się, że same sobie nie poradzą.

Moja bohaterka w pewnym sensie jest taką postacią. Bardzo kocha swojego syna, ale nie jest na tyle silna, nie wierzy w siebie, wreszcie nie ma takich możliwości, żeby się z tego wyrwać. To jest



dla niej straszne, bo jednocześnie widzi, co dzieje się z chłopcem i przez co musi przechodzić. Nawet kiedy teraz o tym mówię, to aż mnie ściska w środku. Kobietą, która zdaje sobie sprawę z nie-szczęścia swojego dziecka, ale nie ma siły żeby cokolwiek zrobić.

Jak wyglądała współpraca z Teodorem Koziarem, czyli pani ekranowym synem, dla którego będzie to filmowy debiut?

Kiedy poznałam Teodora przed zdjęciami, mieliśmy spotkania i próby, był zupełnie innym chłopcem niż pod koniec pracy. Nawiązała się między nami wyjątkowa relacja. Oprócz tego, że jest bardzo zdolnym młodym człowiekiem był świetnie poprowadzony przez Konrada, ale i panią psycholog, pod której stałą opieką był w trakcie zdjęć. Ona była z nim w trakcie przygotowań i przez cały czas na planie, co było ważne, bo niektóre sceny w filmie są dość drastyczne. Tłumaczyła mu to wszystko i pomagała zrozumieć.

To w ogóle było ciekawe doświadczenie, bo mieszkanie zbudowane na hali było niemal identyczne z tym, w którym wychowywał się Konrad. Znajdowały się tam nawet jego pamiętki. Rozmawialiśmy o ustawieniach hellingerowskich i coś takiego nagle się wydarzyło, że zaczęliśmy funkcjonować jak samoistne postaci. Wiedzieliśmy co mamy robić, jak się zachować w danej sytuacji.

Zwłaszcza jedna sytuacja zrobiła na mnie wrażenie. W jednej ze scen nie do końca wiedziałam w co powinnam być ubrana, a kostiumy i charakterystyka bardzo pomogły mi w zbudowaniu tej roli. Przymierzyłam jedno ubranie i coś mi nie pasowało. Poszłam do garderoby, wzięłam czarny golf, czarne legginsy i wróciłam na plan. Konrad jak to zobaczył, otworzył tak zwaną Biblię, która była rodzajem pamiętnika, dokumentującego różne etapy w jego życiu, i pokazał mi zdjęcie jego mamy w identycznej sytuacji, jaką właśnie mieliśmy kręcić. Ubrana była dokładnie tak samo. Co więcej, stała wtedy przy takiej meblówce, jaką mieliśmy na planie. To był jeden z tych wyjątkowych momentów.

Akcja filmu rozgrywa się na początku lat 90., które były bardzo barwnymi czasami. Z czym one pani się kojarzą?

Przede wszystkim z bardzo szczęśliwym dzieciństwem. Ale też z Peweksem, marzeniem o Zachodzie, niedoścignionym światem, który jest gdzieś hen za wodą. Na pewno dla mnie były to bardzo bez troskie lata.

Tęskni pani za nimi, bo w filmie również daje się wyczuć nostalgiczny ton?

Za niektórymi sytuacjami na pewno. Bardzo dużo czasu spędzałam wtedy z moją babcią. Pamiętam, że nagle sły-

chać było głos dzwonka do drzwi i zupełnie niespodziewanie pojawiało się kilkunastu niezapowiedzianych gości. Teraz takie rzeczy praktycznie się nie dzieją. Zawsze są telefony, uzgadniania co, kto ma przygotować. A wtedy po prostu otwierały się drzwi, wszyscy byli szczęśliwi, że przyszli goście i zaczęli wspólnie przygotowywać różne rzeczy. Nie było tego zniewolenia od technologii, komórek, ludzie więcej ze sobą roz-

mawiali i spędzali czasu. Pamiętam też, jak z babcią czekałam u rzeźnika po mięso. Zawsze wyjeżdżałam w wózku z surową parówką w ręku. To z jej zapachem i smakiem kojarzy mi się ten czas (śmiech). A to była wtedy delicia! [•]

Z Weroniką Książkiewicz, odtwórczynią roli Heleny w filmie „Powrót do tamtych dni” rozmawiał Kuba Armata.
Materiał powstał we współpracy z Dolnośląskim Centrum Filmowym.



fot. Kacper Chmielowski



CZYM JEST SYNDROM DDA?

rozmowa z **Robertem Frączkiem i Joanną Lisotą**
z Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych

Robert Frączek: Syndromem DDA, czyli Dorosłych Dzieci Alkoholików, nazywamy zespół utrwalonych schematów działania, jakie dziecko wynosi z domu, w którym pojawił się problem alkoholowy. Zaburzenia te mają podłoże psychologiczne, a ich obecność wynika z doświadczeń dzieciństwa i sposobów radzenia sobie z nimi. Upraszczając to багаż, który niesiemy w dorosłe życie – wypracowane mechanizmy obronne, nie zawsze konstruktywne, czasem brak umiejętności radzenia sobie w różnych sytuacjach.

Joanna Lisota: Dziecko wychowując się w rodzinie z problemem alkoholowym buduje w sobie destrukcyjne przekonania na temat ludzi, świata, siebie. Te najczęstsze to: żeby nie ufać, nie mówić, nie czuć. Takie osoby w dorosłym życiu często mają duże problemy, by stworzyć bliski, intymny związek

z drugą osobą oraz nauczyć dzieci funkcjonować w rodzinie w zdrowy sposób. Płacą wysokie koszty, również zdrowotne. Mówimy o funkcjonowaniu w dużym stresie, napięciu, znacznie mniejszym przeżywaniu radości życia niż ludzie z rodzin nieobciążonych uzależnieniem. Wiele z tych osób boryka się z problemami przez całe życie, ale wiele też podejmuje działania mające na celu wyleczenie ich. Idą na terapię, wkraczają na ścieżkę duchowego rozwoju. Możliwości są różne. Takie osoby mają trudniej, ale sporo z nich uczy się na nowo, jak być zdrowym człowiekiem i osiągnąć satysfakcję. Ważne, by były świadome, a ich deficyty nie determinowały ich życia.

W „Powrocie do tamtych dni” problem alkoholowy ojca odbija się na jego żonie i synu. W przygotowanych przez państwa agencję



materiałach pojawia się sformułowanie, że uzależnienie jest chorobą emocji i całej rodziny.

RF: Komuś może się wydawać, że alkohol jest problemem tylko nadużywającej go osoby. Jednak to, w jaki sposób osoba pijąca funkcjonuje w domu, destrukcyjnie wpływa na wszystkich członków rodziny. To ciągle poczucie niepewności i braku wpływu na swoje życie, chroniczny stres, a także wstyd. Dziecko cały czas myśli: wróci pijany czy trzeźwy, będzie dobrze czy źle. To ciągła huśtawka emocji, gdzie nic tak naprawdę nie może być pewne. Żadna obietnica, umawianie się na różne rzeczy. To bardzo rozchwiany świat, gdzie pojawia się wiele trudnych do wyartykułowania obaw, niepokojów, ale i lęków, które skrywa się przed otoczeniem. Ponadto picie alkoholu w sposób problemowy jest czynnikiem ryzyka pojawiania się w rodzinie przemocy.

JL: Te dzieci nie doświadczają dojrzałej rodzicielskiej miłości. Dziecko ma wbudowany w sobie mechanizm, bazujący na tym, że w pierwszej kolejności obwinia siebie o zło, które spotyka je ze strony rodzica. Myśli, że skoro rodzice źle go traktują, to znaczy, że samo jest złe. Przez to, że dzieci czują się winne, odczuwają głęboki wstyd i na przykład nie ujawniają niczego w szkole. Mają też silne normy, które każą im chronić wizerunek rodziny. Niestety rodziny te często nie szukają pomocy z zewnątrz.

RF: W filmie mieliśmy zresztą dobry przykład jednej z ról, jaką dzieci często przyjmują w rodzinach z problemem alkoholowym, czyli tak zwanego bohatera rodziny. Takie dziecko bierze na siebie do pewnego stopnia odpowiedzialność, próbuje opiekować się drugim rodzicem, łagodzić spory, staje pomiędzy rodzicami w obliczu awantury. Bardzo często bierze ono na siebie emocjonalnie zbyt wiele. To, że druga osoba w rodzinie nie pije, wcale nie oznacza, że jest zdrową ostoją, fundamentem, na którym rodzina może być budowana. Często taka osoba, tkwiąc w kręgu współuzależnienia, żyjąc w stanie niepełności, trudności finansowych, nadziei, nie daje dzieciom oparcia. Mało tego, dopóki sama z tego kręgu się nie wyrwie, wciąga dzieci w opiekę czy zajmowanie się osobą pijącą. Cała rodzina krąży tak naprawdę wokół jednej osoby – alkoholika.

JL: To rodzina, która nie spełnia podstawowych funkcji dotyczących opieki. Dziecko przejmuje funkcje osób dorosłych – robienie zakupów, gotowanie, pranie, czasem nawet zdobywanie pieniędzy. Często te dzieci w taki sposób ratują rodziny, ale kosztem utraty dzieciństwa. W toksycznych rodzinach dochodzi do zamiany ról. Rodzice funkcjonują jak dzieci, a one zaczynają pełnić role osób dorosłych. Jeżeli ktoś taki wejdzie w dorosłe życie z tym schematem, może mieć problemy, żeby dobrze



funkcjonować w związkach. Będzie miał tendencję do pomijania siebie, własnych potrzeb, nie weźmie odpowiedzialności za budowanie własnego dobrostanu w relacji z drugim człowiekiem. Ponieważ może mu brakować wrażliwości na siebie, trudno też będzie mu odpowiedzieć na potrzeby drugiej osoby.

W filmie nie ma przemocy w stosunku do dziecka, ale najgorsza wydaje się właśnie ta niepewność, że w każdej chwili coś może się zdarzyć.

RF: W filmie nie ma scen przemocy fizycznej, jednakże relacje w tej rodzinie

są przemocowe. Chłopiec doświadcza przemocy psychicznej. Sytuacja domowa może zaburzyć jego rozwój i wpłynąć negatywnie na dalsze życie. Takie życie to kompletna huśtawka emocjonalna, z którą dzieci różnie sobie radzą. Czasami próbują uciekać z domu i mimo swoich doświadczeń nieświadomie obierają podobną ścieżkę, prowadzącą do tego samego, co było u ojca. Zaczyna się od wagarów, unikania domu, pierwszych eksperymentów z papierosami czy alkoholem, zaniedbywania kontaktów z pozytywną grupą rówieśniczą. Niektórym trudno z tej ścieżki wrócić.



fot. Kacper Chmielowski



JL: W ten sposób dzieci bronią też rodziny, która może to powielać mit, że problem tkwi w dziecku, bo ono rozrabia, sprawia problemy w szkole. Przez to odsuwana jest uwaga od głównego problemu, jakim jest uzależnienie rodziców. Dziecko niejako składa siebie w ofierze po to, by rodzice mogli ochronić własne poczucie dumy, przekonanie że rodzina dobrze funkcjonuje.

RF: W rodzinie z problemem alkoholowym jest niestety wiele sposobów na uniknięcie odpowiedzialności i przerzucanie jej na innych. Wszyscy naokoło są winni – szef, bo zwolnił za błahostkę, kobieta, która nie ugotowała obiadu. Każdy pretekst jest dobry, żeby się napić, zupełnie jakby ktoś taką osobę do tego zmuszał.

Czy to dzieci, także z uwagi na pewną zależność względem dorosłych, są największymi ofiarami takich sytuacji?

JL: Wszyscy w takiej rodzinie są ofiarami. Dzieci na pewno są bardziej bezbronne, nie mają żadnego pola manewru. Wchodzą w ten chory układ sił rzeczy. Osoby dorosłe też są jednak ofiarami i są chore. Mówimy o chorobie alkoholowej, w której w porównaniu z innymi przypadłościami, mamy bardzo okrojony zakres wolności. Osoba, która na coś cierpi, ale jest zdrowa emocjonalnie, łatwiej zdecyduje się na leczenie. W przypadku choroby alkoholowej lu-

dzie są tak zniewoleni przez nałóg, że często nie są w stanie podjąć takiej decyzji. Czasami duże cierpienie, którego doświadczą, dopiero składania ich do podjęcia takiej decyzji.

Czy sytuacja, w której się znaleźliśmy w ostatnim czasie, czyli lockdown spowodowany pandemią, jeszcze to zjawisko spotęgowała?

RF: Statystyki nie potwierdzają, żeby piło się w Polsce w tym okresie statystycznie więcej. Mam na myśli sprzedaż czy spożycie alkoholu. Na pewno natomiast przełożyło się to na sytuację dzieci, w tym znaczeniu, że miały jeszcze mniej możliwości szukania pomocy na zewnątrz. Czasami kontakt w szkole – z grupą rówieśniczą czy nauczycielem bądź świetlicą socjoterapeutyczną – dawały przestrzeń do zbudowania dla siebie obszaru, gdzie dziecko czuło się bezpiecznie, uczyło się wyrażać swoje emocje czy rozpoznawać, jak inni na nie reagują. W chwili zamknięcia w czterech ścianach tych kontaktów automatycznie było mniej. Raport Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę wskazał, że istnieje grupa dzieci, o których szkoła nic nie wie, traci ich z pola widzenia. Bo jeśli one się nie zalogują do systemu, a nie ma podstaw, by interweniować, dziecko może być zamknięte w świecie, który oddziałuje na niego bardzo destrukcyjnie i nic o tym nie wiadomo.

JL: Pójście do szkoły dla wielu dzieci



może być ulgą, odpoczynkiem od atmosfery w domu, napięcia. Ono cały czas co prawda jest wewnątrz dziecka, ale kontakt z rówieśnikami, życzliwym nauczycielem, wychowawcą w świetlicy środowiskowej pozwala mu wejść na bezpieczne wyspy, gdzie stres jest mniejszy czy wręcz gdzie może doświadczyć innego, bezpiecznego świata, może poznać zdrowe wzorce zachowań. Choć to jest trudne i wymaga najczęściej profesjonalnej pomocy. Lockdown odciął naturalne formy wsparcia dla tych dzieci.

RF: Szczególnie jeśli w domu była pomoc, a to niestety też czasami się zdarza. Dziecko nagle zostaje zamknięte w czterech ścianach ze sprawcą przemocy, który z powodu przymusowego zamknięcia też jest bardziej sfrustrowany i próbuje się wyładować. Odreagowuje tak, jak się nauczył. Często działa tu mechanizm powielania wzorców z pokolenia na pokolenie. Jeśli ktoś doświadczył przemocy, a nie nauczył się innych zachowań, to w ten sposób traktuje swoje dzieci. Mimo że sam przeżywał bolesne doświadczenia.

Gdzie dzieci z rodzin z problemem alkoholowym mogą szukać pomocy?

JL: Im dedykowane są wspomniane świetlice środowiskowe, socjoterapeutyczne i opiekuńczo-wychowawcze. Bądź ośrodki pomocy rodzinie, gdzie prowadzone są działania na rzecz dzieci i całych rodzin. Problem w tym, że dorośli

często nie chcą pomocy. Niestety, niewielki procent dzieci z rodzin z problemem alkoholowym trafia do świetlic lub jest objętych inną formą pomocy psychologicznej. Pojawiają się pytania: jak odszukać te rodziny, jak do nich dotrzeć i je przekonać, by się otworzyły. System jest kulawy. Czasem gwarantuje pomoc materialną, na zasadzie dofinansowania posiłków, potrzeb edukacyjnych czy kolonii, ale nie jest to głębsza psychologiczna pomoc, która pozwoliłaby uzdrowić relacje w rodzinie.

RF: Właśnie takiej głębszej pomocy większość tych dzieci potrzebuje. System zbudowany jest tak, że pieniądze na tego typu działania są w samorządach lokalnych. Każda gmina z opłat, które pobiera za wydawanie zezwoleń na sprzedaż alkoholu, zachowuje pewien procent w budżecie tylko i wyłącznie na profilaktykę i rozwiązywanie problemów alkoholowych. PARPA stara się edukować przedstawicieli samorządów i przekonywać, jak ważna jest całoroczna praca, czyli zorganizowanie miejsca, gdzie dziecko może przyjść w każdej chwili, gdzie próbuje się wciągnąć w pracę rodzica. Jeżeli nie pijącego, to chociaż tego współuzależnionego. Część gmin wydaje te pieniądze raz do roku na kolonie, tłumacząc, że takie dwa tygodnie latem to odskocznia od realiów domowych. To jednak za mało. Świetnie, że dziecko ma taką możliwość, ale najważniejsza jest całoroczna pomoc psychologiczna.



Czy problem alkoholizmu, współuzależnienia wciąż jest tematem tabu, czy wraz z coraz większą świadomością, edukacją w tym kierunku mówi się o tym w sposób bardziej otwarty?

RF: Sytuacja nie jest jeszcze idealna, ale myślę, że jest trochę lepiej. Nawet w mediach o uzależnieniu nie mówi się już tylko w kontekście patologii. Pojawiają się znane osoby, które przyznają się do problemu, mówią o konsekwencjach dla nich i rodziny. Zmienia to trochę postrzeganie społeczne. Na pewno trudniej do uzależnienia przyznać się kobietom. To nadal jest w sferze tabu, a i stygmatyzacja jest tu dużo większa. Kiedy mężczyzna przyznaje się do uzależnienia i podejmuje leczenie, postrzegane jest to dzisiaj jako coś pozytywnego i zasługującego na wsparcie. Więcej mówi się też o współuzależnieniu, o tym, że rodzinie należy się wsparcie. W filmie widzimy, że sąsiedzi, choć wiedzieli, co się dzieje, woleli zamknąć drzwi i się od tego odciąć. To szkodliwy sygnał dla rodziny, która pozostawiona została sama sobie. Ta wiedza powoli się sączy. Mówimy o tym, jak reagować w sytuacji przemocy domowej, gdzie można to zgłaszać czy kierować taką osobą po pomoc. Są też pewne procedury, jak np. zobowiązanie do leczenia odwykowego. Odchodzimy od modelu sprzed kilkunastu laty, kiedy zabierało się dzieci i trafiały one do domów dziecka. Idziemy w stronę

pracy z całą rodziną. Zabieranie dziecka z domu traktuje się jako ostateczność. Obecnie system zbudowany jest lepiej, niż widać to w filmie, którego akcja rozgrywa się na początku lat 90. Nauczyliśmy się wiele, obserwując zagraniczne wzorce, wypracowując procedury.

Wsparcie i zrozumienie wydają się kluczowe. Zresztą taki charakter ma też film, który nie jest próbą oskarżenia, a raczej zrozumienia pijącego ojca. Jak członkowie rodziny mogą pomóc alkoholikowi?

RF: To temat na długą rozmowę. Ważne jest to, by uświadamiając sobie źródło problemu, takie osoby najpierw szukały pomocy dla siebie. Dzięki temu będą w stanie bardziej konstruktywnie reagować na to, co dzieje się w domu. Warto skontaktować się z gminą, ponieważ w każdej z nich jest komisja, która może służyć jako pierwsze wsparcie. Szukanie kontaktu z psychologiem, świetlicy dla dziecka, grupy wsparcia dla osoby współuzależnionej to pierwsze kroki, które warto podjąć. Później można próbować kolejnych, jak wspomniane rozpoczęcie procedury zobowiązania do leczenia. Można też próbować bardziej miękkich metod. Od lat 90., wydając różne materiały, mówiliśmy o metodzie interwencji polegającym na tym, że ważne osoby – z rodziny, pracy – dla osoby pijącej próbują razem przeprowadzić coś w rodzaju rozmowy interwen-



cyjnej. W trakcie zorganizowanego spotkania, gdy alkoholik jest trzeźwy, każda z tych osób mówi o swoich emocjach, odczuciach związanych z tym, że ona pije. Przedstawia fakty, np. opowiadając o sytuacjach kiedy osoba uzależniona nie wywiązywała się z roli rodzica, małżonka, pracownika, robiła coś szkodliwego dla siebie lub innych, o swoich emocjach z tym związanych. Rozmowa taka powinna przebiegać w spokojnej atmosferze, dobrze jest poprosić o pomoc w jej moderowaniu kogoś z zewnątrz. Taka interwencja wymaga starannego przygotowania, po to by nie oskarżać, ale pokazywać fakty, nazywać emocje. Nie ma tu miejsca na dyskusję, kłótnie, chodzi raczej o mocny przekaz, by pijący wziął to do siebie i zobaczył, że komuś na nim zależy z jednej strony, a z drugiej aby do niego dotarło jakie spustoszenie sieje nałóg w jego i ich życiu. Wszystko po to, aby zrozumiał, że jedyną szansą jest jednak zakończenie picia. Trzeba mu uzmysłwić, że jeżeli tego nie zmieni, podjęte zostaną dalsze kroki – np. zwolnienie z pracy, rozstanie, separacja. Często się mówi, że dopóki alkoholika nie dotkną konsekwencje i nie będą one dla niego bolesne, będzie to lekcewał. Natomiast jeżeli tak się stanie, może to będzie moment, kiedy postanowi coś zmienić i naprawić.

JL: Osoba pijąca postrzega to jako szantaż, ale często to działa. Miękkie podejście może okazać się skuteczne. Cho-

dzi o to, by taką osobę traktować życzliwie, okazywać jej dużo miłości i szacunku, kiedy nie pije. To duża sztuka jak być miłym i konstruktywnym, nie narzekać, nie wypominać, kiedy z tyłu głowy ma się dużo pretensji. Z kolei wycofywać ciepłe uczucia, kiedy osoba uzależniona sięga po alkohol, nie chronić jej przed naturalnymi konsekwencjami związanymi z piciem. Ważne w tym wszystkim jest to, by osoba współuzależniona dobrze funkcjonowała, żeby nauczyła się kontaktu z własnymi emocjami, potrzebami, brania za siebie odpowiedzialności, przestała kontrolować osobę pijącą, próbować nią manipulować. Żeby wiedziała, kiedy nie zgadza się na różne rzeczy, chronić siebie i dzieci. Aby tak się stało dobrze, aby sięgnęła po pomoc dla siebie. W Polsce terapia dla osób uzależnionych i współuzależnionych jest darmowa.

R.F.: Warto nie eksperymentować, a raczej poszukać wsparcia bardziej profesjonalnego, nawet jeżeli ono będzie utwierdzeniem w krokach, jakie dana osoba chce podjąć i do których czuje się gotowa. W różnych środowiskach funkcjonuje też wiele mitów na temat radzenia sobie z alkoholem, niektórzy widzą jedyne rozwiązanie w tzw. zaszyciu lub wierzą, że lepiej by alkohol był w domu, z nadzieją że ograniczy to liczbę awantur. Nie można podtrzymywać picia, akceptować go, to nie jest droga prowadząca do czegoś pozytywnego.



Jakie są podstawowe pola działalności PARPA?

R.F.: Agencja została stworzona jako biuro przy ministrze zdrowia, jest agencją rządową i działa według określonego budżetu i w ramach zadań wskazanych w *Ustawie o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi*. Nie wielki zespół specjalistów zajmuje się przygotowaniem szkoleń i konferencji, których celem jest zwiększanie kompetencji specjalistów w wielu dziedzinach powiązanych z profilaktyką i rozwiązywaniem problemów alkoholowych,

a więc nie tylko terapeutów uzależnień, ale także pracowników socjalnych, kuratorów, lekarzy, nauczycieli, pedagogów, psychologów, członków zespołów interdyscyplinarnych ds. przeciwdziałania przemocy w rodzinie, itp. Zajmujemy się edukacją publiczną, ale też analizami, zbieraniem sprawozdań z gmin, badaniami i projektami pilotażowymi służącymi wprowadzaniu nowych programów, rozwiązań, procedur. [•]

Rozmawiał Kuba Armata. Materiał powstał we współpracy z Dolnośląskim Centrum Filmowym.



fot. Justyna Zduńczyk



Hohe Eule, Bismarckturm bei Reichenbach, 1936

WYCIECZKI I SPACERY

Dolny Śląsk to obszar bardzo zróżnicowany, na południu góry, na północy rozległe bory i kompleksy stawów, a między nimi urocze miasteczka. Trasę dla siebie znajdują tu zarówno miłośnicy wysokogórskiej wspinaczki, wycieczek po niezbyt wysokich pagórkach, jak i ci preferujący spacerowanie śródmiejskimi traktami czy parkowymi alejkami.



Krummhübel, 1934



Berghotel Kesselschloßbaude, 1931

fot. (x3) nieznany, źródło: Fotopolska.eu/Polska-org.pl



Dzierżonowski rynek i ratusz / fot. Wojciech Głodek, październik 2018



ŚLADAMI SMOKA I DIORY

Dzierżoniów to spokojne miasteczko u podnóża Gór Sowich, które swoją polską nazwę po 1945 roku dostało dla upamiętnienia ks. Jana Dzierżonia – wybitnego śląskiego badacza pszczół. Miasto do dziś zachowało średniowieczny układ urbanistyczny.

POWIATOWA TRASA SPACEROWA

Wycieczkę rozpoczynamy od Sowiogórskiego Centrum Komunikacyjnego. Tutaj możemy dojechać bezpośrednim pociągiem z Wrocławia, Legnicy lub Kłodzka. Ul. Henryka Sienkiewicza idziemy w stronę centrum Dzierżoniowa, mijając m.in. kryty basen miejski czy pięknie odrestaurowany Most Niepodległości.

Dalej ul. Pocztową dochodzimy do ul. Świdnickiej, na wprost znajduje się kościół pw. Trójcy Świętej, przed którego wejściem stoi pomnik Jana Pawła II. Przed kościołem skręcamy w prawo przy budynku przy ul. Pocztowej 1 i kierujemy się dalej w prawo. Tutaj spacerujemy wśród zieleni, a po naszej lewej stronie znajdują się mury obronne Dzierżoniowa, które liczą już ponad



700 lat. Ich charakterystyczną cechą jest to, iż są podwójne. Znajdziemy w nich sporo przejść i baszt, które są ozdobione herbami dawnych rzeźmiślników, aniołami czy też laurami. Nie brakuje też wizerunku św. Jerzego walczącego ze smakiem. Idąc dalej dochodzimy do skrzyżowania ulicy Mierniczej i Krasickiego, gdzie znajduje się synagoga. Wybudowano ją w XIX wieku. Synagoga przetrwała II wojnę światową, ponieważ budynek ten służył celom administracyjnym Hitlerjugend.

Koło synagogi kierujemy się w dół i kontynuujemy wycieczkę wzdłuż murów obronnych. Po krótkim spacerze skręcamy w prawo schodami, a następnie przez przejście dla pieszych dochodzimy do ul. Batalionów Chłopskich. Kierując się w dół ulicy znajdziemy się przy Młynie Hilberta, który zachował się w pełni kompletny, obrazujący poziom rozwoju techniki młynarskiej z lat trzydziestych XX wieku. W ramach działalności Fundacji Ochrony Dziedzictwa Przemysłowego na Śląsku obiekt został przekształcony

w Muzeum Młynarstwa. Młyn bez modernizacji i istotnych zmian w wyposażeniu pracował do końca 2016 roku.

Dalej przechodzimy na drugą stronę ulicy i podążamy wzdłuż rzeki Piława, ul. Mikołaja Kopernika, a potem ul. Henryka Sienkiewicza, kierujemy się już z powrotem do Sowiogórskiego Centrum Komunikacyjnego, gdzie zaczęliśmy spacer.

Sowiogórskie Centrum Komunikacyjne powstało w zrewitalizowanym dworcu kolejowym. Poza pociągami zatrzymują się tutaj autobusy dalekobieżne i komunikacji miejskiej ZKM Bielawa obsługującej Dzierżoniów, Bielawę, Pieszyce i okoliczne miejscowości. W przytulnej poczekalni znajduje się wystawa fotografii Dzierżoniowa, a w okresie świątecznym można też podziwiać niezwykle miasto z piernika.

TRAKT DIORY

Jest to trasa turystyczna, będąca ścieżką edukacyjną, ukazującą dziedzictwo dawnych zakładów radiotechnicznych „Diora”. Na trasie



PROMYK 1957
PAMIĄTKA 1957
W 1957 roku w miejscowości Promyk powstała pierwsza w historii radiofonowa stacja nadawcza. Jej budowę i uruchomienie umożliwił wybudowany w tym celu budynek, który stał się pierwszym radiostacją w miejscowości. W 1957 roku w miejscowości Promyk powstała pierwsza w historii radiofonowa stacja nadawcza. Jej budowę i uruchomienie umożliwił wybudowany w tym celu budynek, który stał się pierwszym radiostacją w miejscowości.

Mosięczna replika radia „Promyk” z 1957 roku / fot. Wojciech Głodek, listopad 2021



Piernikowe Miasteczko na dworcu kolejowym / fot. Wojciech Głodek, listopad 2021



rozmieszczone są mosiężne radia (w skali 1:1). Przy każdym eksponacie znajdują się tabliczki opowiadające o historii przemysłu radiofonicznego i jego wpływie na rozwój miasta oraz regionu. To naprawdę pasjonująca historia.

Przejsiecie całej trasy zajmuje około 30 minut. Polecamy rozpocząć ją od Rynku i budynku Ratusza, przy którym znajdziemy pierwsze polskie powojenne radio – Pionier.

TRAKT SMOKA

Dzierżonowski Trakt Smoka to specyficzna trasa turystyczna, która prowadzi turystę przez ciekawe miejsca znajdujące się na terenie miasta. Nazwana została Traktem Smoka, gdyż w herbie Dzierżonowa jest Święty Jerzy, który walczy ze smokiem. Na trakcie można zobaczyć dzierżonowskie smoki, np. na Rynku, w pięknych arkadach w okolicy Ratusza oraz miejskiej biblioteki publicznej, gdzie znajduje się wystawa – na szklanych tabliczkach są wypisane tzw. dzierżonowskie smoki i ich krótki opis, historia bądź

anegdota. Wielką frajdę z szukania smoków w mieście mają nie tylko dzieci. Przemierzając trakt, zobaczymy między innymi Ratusz, Kościół Maryi Matki Kościoła, Sukiennice, Dom Kata oraz synagogę.

Na rynku można wejść na średniowieczną wieżę ratuszową. Wejścia są bezpłatne i przez cały rok z galerii wieży można podziwiać panoramę miasta i okolic, także przez lunetę z 25-krotnym zbliżeniem. Poniżej tarczy zegarowej znajduje się kopia zaginionej w latach 80. postaci z bębenkiem, upamiętniająca legendarnego dobosza ratującego miasto z opresji podczas oblężenia przez wojska szwedzkie. W dolnej części zaś znajduje się rekonstrukcja XIV-wiecznego warsztatu mennicznego, gdzie można tu samodzielnie wybić kopię halerza z 1352 roku z inicjałami MCR (*Moneta Civitas Rychbach*) na awersie i dolnośląskim orłem na rewersie [•]

Materiał powstał we współpracy z Biurem Promocji, Kultury, Sportu i Turystyki Starostwa Powiatowego w Dzierżonowie.



UROCZE LETNISKO Z BELLE EPOQUE

tekst i zdjęcia **Wojciech Głodek**





Gdy pierwszy raz tu przyjechaliśmy, to niewielkie miasteczko naprawdę nas zaskoczyło. Przy odrobinie wyobraźni możemy poczuć się tu jak zupełnie jakbyśmy cofnęli się o sto lat. Liczne przy głównych uliczkach miasta ponad stuletnie wille tworzą niezapomniany klimat uroczego letniska z czasów *belle époque*.

Wszystko tak naprawdę zaczęło się w roku 1835, gdy tutejszy właściciel ziemski Karol Wolfgang Schaubert docenił położenie tej niewielkiej

wsi i panujące tutaj warunki klimatyczne, które według niego nie ustępowały niczym tym w Karkonoszach czy Jesionikach.





Schaubert na liczącej 170 hektarów działce leśnej wybudował bardzo nowoczesny zakład balneoklimatyczny, czyli leczący kuracjuszy poprzez samo przebywanie w tym miejscu. Przyjeżdżały tu osoby z dolegliwościami dróg oddechowych oraz układu odpornościowego na leczenie. Poza oddychaniem czystym powietrzem zażywały też kąpieli i pryszniców z dwóch ujęć wody – Wolfgang i Karol.

W połowie XIX wieku Oborniki miały nieco ponad pół tysiąca stałych mieszkańców. Sytuacja ta zmieniła się diametralnie po oddaniu do użytku w 1856 roku linii kolejowej z Wrocławia do Poznania. Pod koniec XIX wieku liczba stałych mieszkańców potroiła się. W dużej części stało się tak dzięki bogatszym Wrocławianom uciekającym z wtedy jeszcze bardzo brudnego i cholerycznego miasta do małych miejscowo-





ści położonych w rejonie Wzgórz Trzebnickich.

Neoklasycystyczny dworzec kolejowy z detalami neoromańskimi, wybudowano dwa lata po otwarciu połączeń kolejowych. Był to stosunkowo duży obiekt, jak na tak niewielką miejscowość, mieścił kasy, poczekalnię oraz elegancką restaurację. Budynek dworca przetrwał w dobrym stanie do dzisiaj, pięć lat temu przeszedł gruntowny remont.

Nadal działa w nim kasa i poczekalnia, natomiast zamiast restauracji jest biblioteka miejska. W poczekalni warto zobaczyć zachowaną zabytkową posadzkę.

Wraz z innymi mieszkańcami do Obornik zaczęli także przybywać lekarze, którzy bardzo szybko docenili panujący tu specyficzny mikroklimat i jakość wód głębinowych, których używano zarówno do kąpieli, jak i do picia. Wielkim powodze-





niem w całym regionie cieszyła się wydobywana z ponad 90 metrów woda z ujęcia Felicja, która przez długi czas uchodziła za wodę mineralną. Dopiero dwudziestowieczne badania wykazały, że nie ma właściwości leczniczych.

Na przełomie XIX i XX wieku w Obornikach Śląskich powstały całe nowe osiedla willowe, gdzie wynajmowano dodatkowo pokoje dla letników i kuracjuszy, a także szereg

wyspecjalizowanych pensjonatów i zakładów leczniczych dla przybywających tutaj gości. Do największych należały Friedrichshöhe (dzisiejsza Szarotka) i Waldsanatorium (dzisiejsze Sanatorium Leśne. Ten ostatni był już stosunkowo nowoczesny, miał własne inhalatorium, laboratorium analityczne, aparat rentgenowski i salę operacyjną, w której dokonywano zabiegów chirurgicznych płuc.





Gdy wybierzecie się na spacer wśród obornickich willi, to koniecznie przejdźcie ulicami Dworcową, Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Trzebnicką i Wrocławską. Ta pierwsza prowadzi wprost od dworca kolejowego do centrum miasta. Przy pierwszym skrzyżowaniu zobaczycie budynek urzędu miasta oraz Obornicki Ośrodek Kultury, który rozpoczął tu działalność w 1975 roku jeszcze jako Miejski Międzyszakładowy

Dom Kultury. Sam budynek powstał jeszcze w XIX wieku i funkcjonowała tu restauracja oraz pierwszy w Obornikach Śląskich hotel, którego właścicielem był Robert Vetter.

Przy kolejnym skrzyżowaniu warto na chwilę zboczyć w ulicę Marszałka Józefa Piłsudskiego. Nie znajdziecie tu za bardzo historycznych willi, warto jednak spojrzeć na budynek dawnych Zakładów Wyróbów Cukierniczych "Miś", przed dłu-





gi czas jednego z największych powojennych pracodawców w Obornikach. Produkcję w nim rozpoczęła zaledwie trzydziestoosobowa załoga w II połowie lat 50. ubiegłego wieku od lizaków i wafelków. Lata 70. i 80. to nieustanny rozwój zakładów, nowe urządzenia i coraz szerszy asortyment wyrobów cukierniczych – wafelki, draże, galaretki, herbatniki, a nawet własnego ptasiego mleczka konkurującego z wedlowskim orygina-

łem. Zakład przetrwał trudną latami transformacji, jednak kolejne przejęcia okazały się dla niego zabójcze, w 2017 roku ogłoszono upadłość tej jednej z najdłużej działających w Polsce firm cukierniczej.

Opowiadając o Obornikach Śląskich nie można zapomnieć o jednej z najbardziej barwnych postaci dziewiętnastowiecznego świata kulturalnego Dolnego Śląska – Carlu Eduardzie von Holtei. Ten niemiecki





poeta, pisarz, aktor i reżyser teatralnych, podróżował po całej Europie, przyjaźnił się między innymi z Adamem Mickiewiczem, którego utworu tłumaczył na język niemiecki. Do dziś w Obornikach Śląskich można podziwiać postawiony na początku XX wieku obelisk ku jego czci.

Obelisk Holteia składa się z kamienia z umieszczonym centralnie medalionem z podobizną poety. Medalion niestety nie przetrwał trud-

nych czasów powojennych. Ten, który możemy podziwiać dziś został wykonany przez obornickiego artystę Jana Drzewieckiego. Znajdziecie go przy prowadzącej pod górę alejce odchodzącej od ulicy Kasztanowej.

Kawałek dalej warto zobaczyć pozostałości po dawnym cmentarzu ewangelickim oraz niewielkie lapidarium, gdzie można odnaleźć też nagrobek Carla Friedricha Gustava Schauberta. Takie miejsca zawsze





prowołują chwilę zadumy nad trudną historią naszego regionu, gdzie wiele cmentarzy pochłonęły dziejowe zawieruchy, których przez Dolny Śląsk przeszło niemało.

To właśnie dla Carla Friedricha Gustava Schauberta w połowie XIX wieku Wilhelm Grapow, Królewski Architekt Kolei Górnośląskich, znany przede wszystkim jako twórca neogotyckiego dworca głównego we Wrocławiu, zaprojektował rodzinny

pałacyk. Wzniesiono go w latach 60. XIX wieku, niestety po przebudowach dokonanych przez funkcjonujący tu po wojnie PGR, jedynym historycznym elementem, który się ostał, jest ośmioboczna wieża, która u wielu osób budzi skojarzenia z wieżyczkami flankującymi dworzec Wrocław Główny.

Gdy już nacieszymy oczy architekturą, konieczne trzeba wejść jeszcze na obornicki "grzybek", czyli





znajdujące się nad ulicą Kasztanową wzgórze, z którego rozpościera się piękna panorama na Oborniki Śląskie oraz najbliższą okolicę, czyli lasy i pola uprawne na łagodnych stokach Wzgórz Trzebnickich określanych często mianem Gór Kocich.

Odwiedzając Oborniki Śląskie warto też zajrzeć do przytulnej kawiarenki pod nazwą Menzurka Cafe nawiązującą do patronki ulicy – Marii Skłodowskiej-Curie. Przytulny

lokal zwraca uwagę ładnym wystrojem, ale najważniejsze są tutaj przepyszne wypieki, których naprawdę warto spróbować. Jeśli będziecie mieli problem z trafieniem, to szukajcie muralu z polską noblistką, którego autorką jest wrocławska artystka Ania Szejdek, znana też jako COXIE. [•]

Autor jest z wykształcenia informatykiem, twórcą kwartalnika Przystanek Dolny Śląsk, także wielkim miłośnikiem podróży koleją oraz pieszych wycieczek po Dolnym Śląsku.







PARKOWA WRONA POJEDNANIA

tekst i zdjęcia **Anna Kawalec**

Macie czasem tak , że mijacie jakieś miejsce setki razy. Albo chociaż dziesiątki. Bezwiednie przejeżdżacie obok. Wasz wzrok ślizga się po okolicy, nie zapamiętujecie szczegółów, bo to tylko fragment przestrzeni dzielącej Was od celu? Ja mam tak często.

Pakuję suczydła do samochodu. Zatrzaszuję drzwi i ruszam. Niczym biała smuga, mknę po drogach, zachowując limity prędkości, myśląc tylko o tym, kiedy nawigacja powie mi magiczne „jesteś u celu”. Po drodze jest trochę nicości. Trochę zjazdów w boczne drogi... Ostatni czas,

absolutnie przedziwny, zmusił mnie do zrewidowania planów wyjazdowych. Bardzo mocno stawiam na to, co bliżej. Startując wcześniej, mam sporo szans całą zaplanowaną trasę przejść bez spotkania kogokolwiek. Ha! Jakby wcześniej nie było to dla nas priorytetem.



Gdy przeglądałam tak notatnik podróżniczy, mój wzrok padł któregoś dnia na dawno zapisane, ale nigdy niezrealizowane dwie trasy. Obie ze startem z tego samego miasta. I takim sposobem nastąpiło w naszym pufostadzie odkrycie, chyba mogę powiedzieć, kwartału! A co!

Bielawa.

Tak, Moi Drodzy. Bielawa, która od zawsze stanowiła tę rozmazaną przestrzeń za oknami samocho-

du. Chwila przejazdu w drodze w Góry Sowie. A okazuje się, że ma do zaoferowania całkiem sporo pięknych, dzikich ścieżek.

I co najważniejsze – większość osób podejmuje taką decyzję, jak ja do tej pory. Omija Bielawę, bo przecież za parę kilometrów są te znane miejsca. Znane, piękne, ale często ociekające ludźmi, pełne gwaru, zapachu ognisk podsycanych kiełbasami. Tak kojarzy mi się Wielka





Sowa. Stojące kolejką do wejścia na wieżę na Kalenicy. Może to moje „szczęście”, może celowałam w złą godzinę. Ale mając zaliczone najważniejsze punkty Sowich, chciałam odetchnąć okolicą w samotności. Nie licząc mojego stadka, rzecz jasna.

Naszą wyprawę rozpoczęliśmy przy stawie Cegielnia. W chłodny, zimowy poranek nie ma tu nikogo. Jest za to sporo miejsc do zaparkowania. „Miszczowie” kierownicy, jak ja, cenią sobie utwardzone, szerokie przestrzenie.

Wypakowujemy psy. Wbijam się w pas trekkingowy. Nie ma luźnego biegania po terenach leśnych. Jesteśmy gośćmi i szanujemy przyrodę wokół nas. Jedynie Pufka, swoim geriatrycznym truchtem, ma pozwolenie na spokojne tuptanie za Panem. Jej obrzydzenie do krzaków i błota fascynuje mnie po dziś dzień. Ale przecież to pies we wściekle różowym sweterku. To zobowiązuje.

Twarzą ku jasności poranka wspinamy się żółtym szlakiem. Wi-

je się powoli ku górze. Na tyle, by się rozgrzać, ale nie żałować wczesnego wstania z łóżka. Jeśli, jak my, korzystacie z aplikacji mapy.cz, miejcie oczy szeroko otwarte. Rzeczywistość troszkę różni się od mapki cyfrowej. Polecamy używać głowy i dać się poprowadzić oznaczeniom na drzewach, one wskażą właściwą drogę w terenie.

Po kilku przystankach na zdjęcia światła przedzierającego się między drzewami i kilka fotek widoku na Góry Sowie, spacerem zahaczamy o skałę Schenka. Skała wśród skał. Rozpoznać ją po tym, że będziecie już blisko szczytu, trzeba będzie trochę wyteńczyć mięśnie i wejść parę metrów bardziej stromo. A na samej skałce znajdziecie wnękę. Internet „mówi”, że jeszcze w latach 60. XX wieku był tu napis po niemiecku. W ogóle takie skałki to całkiem fajna sprawa. Siedzą sobie w ziemi od niepamiętnych czasów i z jakiejś racji upamiętniają bardzo lokalne wydarzenia. Bo najczęściej



nie są to wspominki wielkich międzynarodowych bitew, a dotyczą lokalnych wydarzeń czy postaci. Skalka Schenka nawiązuje do osoby Georga Schenka – właściciela majątku, w skład którego wchodziła góra Parkowa, na którą zaraz się wdramy.

Przystanek pod Skalką, zebranie sił i atakujemy szczyt. 451 m n.p.m. samo się nie zdobędzie. Ale jeśli ktoś uważa, że to za mało me-

trów – mówisz masz! Wieża widokowa. Kolejna do mojej kolekcji. Ocena wieży dokonana subiektywnie – konstrukcja stabilna, choć ażurowa kratownica nie dla bojaźliwych. Ja lęku wysokości nie posiadam, ale na tego typu konstrukcjach – jak, już wspomniana Kalenica, czy Borowa, odczuwam dziwny niepokój. Widok tych kilku metrów pod podszewami nie dodaje poczucia stabilności. A wystarczą mi rozchwiane emocje,



rozchwanie widoków w dół jest średnio pożądanym. A jak już przy widokach jesteśmy, są świetne! Nie spodziewałam się tak fajnego oglądu na okolice, w tym Góry Sowie, rzecz jasna.

Wracamy do tematu niedocenywania Bielawy. Jedyne minus, dla mnie dość spory. Dla Pufy i Bu wieża widokowa jest niepsiolubna. Krowatnica nie jest czymś, na czym powinny stawać psie łapki, szczególnie

tak małe. Gdybym była tylko z psami, zrezygnowałabym z wejścia. Opcja zostawienia dziewczyn samych na dole nie mieści się w mojej głowie. Jako odpowiedzialny psiarz, wiem – albo razem, albo wcale. Na szczęście na tę wyprawę skusił się też P., czyli nasza męska szara eminencja. Widoki zaliczane były więc na zmianę.

Napatrzeni, doładowani herbatą z termosu, z lekką nutką dekadenc-





cji zimy pomieszanej z jesienią i szczyptą adrenalinki, ruszamy dalej. Zwrot na pięcie i szlak żółty. Ale nie do auta. Teraz ma nas on prowadzić o wiele dalej, przed siebie. Ażymut na południowy wschód i szczyt do odznaczenia w tabelce „Korona Sudetów Polskich”.

Zbieracie szczyty? Planujecie wyprawy według jakiegoś klucza? U nas często wpadają góry z list KORON – Sudetów, Sudetów Polskich,

Kaczawskich... to genialna inspiracja na wypady. Podczas tej wędrówki zapoLOWAŁAM na Wronę. Zamiłowanie do ptaków dodatkowo motywowało mnie do dziarskiego marszu po pięknych leśnych ścieżkach. Jeśli i Wy tak podążycie – szykujcie się na prostą nawigację, dobre, w miarę szerokie i niezarośnięte leśne ścieżki. W sam raz chyba dla każdego.

Wrona, wznosząca się na 457 m n.p.m., w zestawieniu szczytów do



Korony Sudetów Polskich figuruje przy Wzgórzach Niemczańsko-Strzelińskich i jest najdzikszy etapem naszej wędrówki.

Postawiliśmy na nią w czasie bezłściowym, bezpająkowym i to był doskonały pomysł. Dróżka na szczycie latem zapewne jest zarośnięta i wystawia na próbę każdego, kto wie, czym jest choćby lekka arachnofobia. Ja odczuwam dumę, że mam Wronę w kolekcji, a przede wszy-

stkim cieszę się, że nie musiałam tej próby przechodzić.

Sam szczyt jest skalisty, widok z niego jest, ale bez szału. Przed nosem mamy sporo drzew, teraz ogłconych, pozwalających rozejrzeć się wokół. Nie zostajemy tu długo, łapiemy skrytkę geocachingową i ruszamy w kierunku ostatniego punktu z mojego planu. Ale po drodze, na przełęczy Pod Wroną idziemy kilkanaście metrów ulicą i zaliczamy





punkt widokowy. Drewnianą platformę wybijającą się lekko z niewielkiego zbocza. Urocza, o deskowej podłodze. W sam raz dla psa.

Skrupulatnie planując, oglądając mapy i zdjęcia satelitarne, wysnułam wniosek, że podążając ścieżką równoległą do szlaku żółtego, którym już szliśmy, kierując się ogólnie w stronę samochodu, znajdziemy przesmyk. Nieoznaczoną, ale istniejącą ścieżkę wśród drzew, któ-

rą „spadniemy” wprost na Wzgórze Pojednania. Będąc tak blisko, nie potrafiłam odmówić sobie tego wznesienia. Tak charakterystycznego, przez wbijający się ku niebu Krzyż Milenijny.

Udaje się. Zejście przez las. Później sprawdzający równowagę spacer miedzą. Od razu przypominałam sobie jakieś konflikty o miedzę, to z filmu, to z literatury. Jeśli ta ich miedza była równie wąska



i zarośnięta krzakami, co ta tutaj, to totalnie nie rozumiem sensu tych kłótni.

Ale dróżka jest. Wyprowadza nas na błotnisty dukt i wprost na szczyt. Ławki, widok, tablica pamiątkowa. Moje gusta wolą Wronę, więc aktywujemy tryb szybkiego zejścia do samochodu. Stąd mamy już dosłownie prostą drogę.

Uwaga na śliskie błoto. Przestrzegam z autopsji. O normalnych

godzinach można spodziewać się tu też dużo większego stężenia spacerowiczów.

Dystans, jaki machnęliśmy, to tylko 7 km. Ale to siódemka pełna zapachu lasu i pustych ścieżek. Szczytów i punktów widokowych. Jeśli szukacie mniej oczywistego miejsca, dajcie szansę Bielawie i nie tylko Parkowej Górze. Zaraz obok wiją się dukty, prowadzące w miejsca też warte odkrycia. [•]





CORAZ BLIŻEJ ŚWIĘTA...

tekst i zdjęcia Wojciech Głodek





Aromat prażonych orzechów oraz grzanego wina miesza się z zapachem kielbasy i kiszonej kapusty. Bombki i dzwoneczki, choinki i światełka, to wszystko pokazuje, że szykujemy się do Świąt. W niektórych miejscach rozpoczynamy te przygotowania bardzo wcześnie, bo gdy tylko

znikną listopadowe znicze, w wielu sklepach pojawiają się świąteczne produkty. Niedaleko w tyle pozostają miasta, które już w chwilę później zaczynają prześcigać się w stawianiu choinek i ozdabianiu ulic, a na koniec organizowaniu na rynkach świątecznych i adwentowych jarmarków.









A jeszcze kilkanaście lat temu jarmarki bożonarodzeniowe nieodmien- nie kojarzyły się tylko z naszym za- chodnim sąsiadem. To niezbyt odległy, Budziszynski Jarmark Waława (od Waława IV, który w 1384 roku nadał przywilej jego organizowania) więk- szość Niemców uważa za najstarszy. W Breslau, na wzór innych niemieckich miast, zaczęto organizować jarmarki

bożonarodzeniowe stosunkowo późno, bo dopiero w początku XIX wieku. Jak można było przeczytać w berlińskim „Zeitung für die elegante Welt. Mode, Unterhaltung, Kunst und Theater” w styczniu 1837 roku: *tutejszy jarmark bożonarodzeniowy odróżnia się zew- nętrznie od innych nie tylko handlem trwającym w budach wieczorną porą w świetle lamp, ale przede wszystkim*





tym, jak wielki skutek ma ta mała różnica na frekwencję o tej porze dnia. Ów jarmark stał się prawdziwym świętem mieszkańców miasta, a jego osobiliwość wypływa z wewnętrznego stylu bycia wrocławian, jak i z ich jedynej w swoim rodzaju wrażliwości. Jest nierozzerwalnym zespoleniem interesów rzemiosła i handlu z potrzebą rozrywki, jaką niesie ze sobą kupowa-

nie prezentów. To czyni go odmiennym od wszystkich innych jarmarków.

Ostatni Kindelmarkt na wrocławskim rynku odbył się w 1903 roku. Potem przeniesiono go na Nowy Targ, bo uznano, że rynek to nie miejsce na jarmark. Do tradycji jarmarków świątecznych na rynku powrócono – w polskim już Wrocławiu – na początku XX wieku. Jeśli nigdy nie byliście we Wrocła-









wiu na Jarmarku Bożonarodzeniowym, to koniecznie przyjdźcie. Warto raz to zobaczyć i odwiedzić. Ale jeśli już byliście, to spokojnie możecie sobie darować kolejne odwiedziny, bo każdego roku wygląda dokładnie tak samo, zmieniają się tylko ceny. Są już niestety nieraz wyższe nawet niż u naszych zachodnich (zdecydowanie lepiej zarabiających) sąsiadów.

Warto odwiedzić jednak jarmarki w mniejszych miastach i tych zupełnie małych dolnośląskich miasteczkach, które w różne grudniowe weekendy zapraszają na wspólne świętowanie. To na nich jest według nas najciekawiej. Kramarze oferują rozmaite smakołyki, zaczynając się od tradycyjnych wędlin, szynek, pasztetów, a kończąc na aromatycznych piernikach i przepysznych





ciastach, bardzo często domowej roboty. Nigdy nie brakuje na nich regionalnych produktów, bożonarodzeniowych pierników i świątecznych makowców czy rozmaitych gwiazdkowych ozdób z duszą, których próżno szukać w sieciowych sklepach. Często można też podejrzec niektórych rękodzielników przy produkcji czy zdobieniu ich wyjątkowych cudeniek.

Nieważne do którego, nawet z najodleglejszych krańców Dolnego Śląska zajrzenie, wszędzie można poczuć atmosferę zbliżających się świąt. Bożonarodzeniowe światelka i aromat jedyny w swoim rodzaju, i co roku brakuje tylko jednego... śniegu! [red]

Aktualne informacje o jarmarkach:

smaki.przystanekd.pl







KORESPONDENCJA Z REGIONU

Jeśli chcesz podzielić się z nami jakąś historią dotyczącą Dolnego Śląska - napisz. Może w Twojej rodzinie żywe są wspomnienia odbudowującego się po wojnie regionu? Może masz jakieś ciekawe materiały związane z Dolnym Śląskiem? A może organizujesz jakieś ciekawe wydarzenie? Wszystko jest ważne, bo współtworzy naszą wspólną historię.



Liebau, Postamt 1925



Wohlau i. Schles., Postamt, 1938

fot. autor nieznan / źródło: Fotopolska.eu/Polska-org.pl



MILION DLA PAŁACU W KIEŁCZYNIE

Milion złotych od Fundacji Most the Most dla Pałacu w Kielczynie – to efekt podpisanej umowy pomiędzy Fundacją i Gminą Dzierżoniów na dofinansowanie rewaloryzacji tego zabytku – zwycięzcy pilotażu konkursu Nasz Zabytek w województwie dolnośląskim.

Pałac w Kielczynie znajduje się przy europejskim szlaku rowerowym EUROVELO oraz przy szlaku św. Jakuba. To przepiękny obiekt w stylu barokowym wybudowany na przełomie XVII i XVIII wieku. Pałac w XIX wieku został poddany gruntownej przebudowie i taki pozostał do dziś. Jest to obiekt o kształcie prostokąta, murowany z cegły. Budynek jest czę-

ścią zespołu pałacowo-parkowego z folwarkiem, w skład którego wchodzi jeszcze: park, pawilon ogrodowy, obora i stodoła. Właściciel zabytku, czyli gmina Dzierżoniów, od lat aktywnie prowadzi działania rewaloryzacyjne. Dzięki temu społeczność będzie mogła na nowo odkrywać wartość historyczną, kulturową i architektoniczną pałacu.



Gmina Dzierżoniów w 2021 roku przy wsparciu ze środków Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich dokonała wymiany pokrycia dachowego i wyremontowała pomieszczenia parteru. Ponadto z końcem 2020 roku uzyskano dofinansowanie w ramach Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych w wysokości ok. 350 tys. zł. Środki te zostały przeznaczone na realizację robót bu-

dowlanych. Dofinansowanie z budżetu Województwa Dolnośląskiego pozwoliło na wymianę kolejnych 7 okien z parapetami na 1. piętrze. Dzięki temu można kontynuować prace remontowe w tych pomieszczeniach.

Aktualnie do remontu pozostają I i II kondygnacja, elewacja, wymiana okien oraz zagospodarowanie terenu wokół budynku i fragment





przestrzeni parkowej pozostającej we władaniu gminy. Dzięki kolejnym pracom restauratorskim i konserwatorskim możliwe będzie przywrócenie i wyeksponowanie wartości historyczno-artystycznych konstrukcji pałacu oraz udostępnienie zabytkowego obiektu mieszkańcom.

Konkurs Nasz Zabytek to flagowy projekt Fundacji Most the Most powołanej przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Projekt ma inicjować i wzmacniać zaangażowanie lokalnych społeczności wokół odnowy zabytków i nadawania im nowych funkcji społecznych. Konkurs „Nasz Zabytek” jest podzielony na dwie części: pierwsza część to wybór jednego zabytku w województwie a druga część to wybór pomysłów na sposób użytkowania zwycięskiego zabytku.

– *Zaangażowanie społeczne to jeden z filarów naszej strategii. Oznacza ono budowanie i wzmacnianie kapitału społecznego poprzez aktywizację różnych grup społecznych. Fundacja Most the Most*

współrealizuje misję Banku. Inicjuje zaangażowanie mieszkańców mniejszych i większych miejscowości w obszarze związanym z kulturą. Wpiera projekty, które są odpowiedzią na lokalne potrzeby, i w których tworzenie i realizację włączona jest społeczność lokalna – uważa Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego i podkreśla: – Przykładem tych działań jest konkurs Nasz Zabytek. Mieszkańcy Kielczyna, Dzierżoniowa i okolic zaangażowali się w konkurs i ich zabytek zwyciężył. Dziś mogą czuć się lokalnymi bohaterami. Ich działanie przyniosło namacalne efekty. Dzięki grantowi od Fundacji Most the Most Pałac w Kielczynie już niedługo nie tylko odzyska dawną świetność, ale także będzie miejscem integracji, edukacji i rozwoju dla mieszkańców.

Jak opowiada Brygida Ślaska, członek zarządu Fundacji Most the Most – *Pilotażowa edycja konkursu spotkała się z ogromnym zainte-*



resowaniem lokalnych społeczności i samorządów. Mieszkańcy Dolnego Śląska pokazali, że nie tylko potrafią się zaangażować, ale także wykazują troskę o zabytki, które są świadectwem ich najbliższej historii. Taka postawa w połączeniu z otwartością na współpracę przedstawicieli samorządów oraz ze wsparciem ze strony Fundacji przy-

nosi i będzie przynosić wiele wartościowych i satysfakcjonujących efektów. W I etapie mieszkańcy województwa przesłali 250 zgłoszeń, w których wskazali 56 zabytków. Spośród nich zwyciężył Pałac w Kielczynie. W II etapie – na wybór funkcji społecznej Pałacu – mieszkańcy Dzierżoniowa, Kielczyna i okolic ponownie aktywnie się zaangażowali





zglaszając wiele ciekawych pomysłów na wykorzystanie przez nich tego zabytkowego obiektu.

Po podpisaniu umowy Fundacja Most the Most przekaze Gminie Dzierżoniów grant na rewaloryzację zabytku i dostosowanie go do wybranych w konkursie funkcji społecznych. Docelowo w Pałacu powstaną: sala integracji społecznej, gdzie będą odbywać się spotkania, warsztaty i zajęcia tematyczne; punkt informacji turystycznej połączony ze sklepikiem z rękodziełem; punkt biblioteczny z czytelnią, Izba Regionalna, w której prezentowana będzie bogata kolekcja eksponatów z obszaru gminy i regionu oraz przestrzeń do działalności lokalnych stowarzyszeń. Co ważne z punktu widzenia Fundacji, Gmina Dzierżoniów zdecydowała się zaprosić do współpracy studentów katedry Architektury Krajobrazu Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, aby zaangażowali się w prace związane z zagospodarowaniem całego terenu wokół Pałacu.

Marek Chmielewski, Wójt Gminy Dzierżoniów podkreślił znaczenie Pałacu w Kielczynie dla regionu oraz docenił zaangażowanie się w projekt lokalnych społeczności. – *Pałac w Kielczynie stanowi obiekt o dużym potencjale w zakresie dziedzictwa kulturowego regionu, a także odgrywa niebagatelne znaczenie w historii gminy Dzierżoniów.*

Dlatego też od wielu lat staraliśmy się, aby społeczność lokalna mogła na nowo odkryć jego wartość historyczną, kulturową i architektoniczną – powiedział Marek Chmielewski i dodał: – Wierzę, że dzięki zwycięstwu w pilotażu konkursu Nasz Zabytek uda się nam zrobić kolejny wielki krok w kierunku przywrócenia obiektowi jego świetności. Co dla nas równie ważne, dużą rolę w kwestii przyszłej funkcji pałacu odegrali nasi mieszkańcy, którzy mogli zgłaszać swoje pomysły w tej kwestii fundacji Most the Most [•]

Materiał prasowy Fundacji Most the Most

TURYŚCI NOCUJĄCY NA DOLNYM ŚLĄSKU

Liczba turystów, którzy skorzystali z obiektów noclegowych w województwie dolnośląskim w 2020 roku była o blisko połowę mniejsza niż w 2019 roku. Mniejsza była także liczba udzielonych noclegów, zwłaszcza turystom zagranicznym. Niższy w skali roku był stopień wykorzystania miejsc noclegowych.





Branża turystyczna jest jednym z sektorów najbardziej dotkniętych skutkami pandemii COVID-19. Ostrzeżenia dotyczące przemieszczania się osób oraz ograniczenia działalności związanej z prowadzeniem usług hotelarskich, które wprowadzono w 2020 roku spowodowały znaczny spadek liczby osób korzystających z noclegów w turystycznych obiektach noclegowych w porównaniu z ubiegłymi latami. Według stanu w dniu 31 lipca 2020 roku w województwie dolnośląskim prowadziło działalność 1012 turystycznych obiektów noclegowych, tj. o 19 mniej (1,8%) niż rok wcześniej. Oferowały one 72,3 tys. miejsc noclegowych, tj. o 1,3 tys. więcej (1,8%) więcej niż przed rokiem.

W 2020 roku z turystycznych obiektów noclegowych w województwie dolnośląskim skorzystało 2,1 mln osób, w tym 278,0 tys. (tj. 13,4%) turystów zagranicznych. By-

ło to mniej niż rok wcześniej odpowiednio o 47,4% i 65,1%. W ogólnej liczbie turystów zagranicznych korzystających z bazy noclegowej przeważali turyści z Niemiec (99,1 tys.) i Korei Południowej (41,7 tys.). Spośród pozostałych krajów najwięcej turystów przyjechało z Ukrainy (18,9 tys.), Czech (17,7 tys.) i Wielkiej Brytanii (12,2 tys.).

Stopień wykorzystania miejsc noclegowych wyniósł w 2020 roku 26,3% i był niższy niż rok wcześniej o 13,1 p.proc. Najwyższe wskaźniki odnotowano w lutym – 43,4% oraz w sierpniu – 43,3%. Podobnie jak w roku poprzednim w największym stopniu wykorzystane były miejsca noclegowe w zakładach uzdrowiskowych (51,4%), hostelach (29,9%) oraz ośrodkach kolonijnych (29,6%).

Dane dotyczą turystycznych obiektów noclegowych posiadających 10 lub więcej miejsc noclegowych. Opracowanie merytoryczne: Urząd Statystyczny we Wrocławiu



O WIELKIEJ HISTORII W MAŁEJ WSI



Indywidualni turyści nieczęsto trafiają do Krzyżowej – niewielkiej wsi położonej w powiecie świdnickim na Dolnym Śląsku. Choć znajduje się ona przy głównej trasie między Świdnicą a Dzierżoniowem, to bywa pomijana w różnych programach zwiedzania Dolnego Śląska.



Niesłusznie! Bo Krzyżowa poszczycić się może malowniczą okolicą i bogatą historią, które teraz zobaczyć i poznać można bez wychodzenia z domu. A to za sprawą powstałego właśnie Filmowego Przewodnika po Krzyżowej, zrealizowanego przez Fundację „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego.

Przewodnik składa się z 14 odcinków – krótkich, kilkuminutowych filmów. Każdy z nich poświęcony jest wybranemu wydarzeniu z historii Krzyżowej, miejscu, które warto zobaczyć bądź działalności Fundacji „Krzyżowa”. Jeden z odcinków dotyczy między innymi Mszy Pojednania, która odbyła się na dziedzińcu nieistniejącej jeszcze wówczas fundacji, zgromadziła około 7 tysięcy ludzi i stała się milowym krokiem w nor-



malizacji stosunków polsko-niemieckich po II wojnie światowej. We mszy uczestniczyły głowy państw – premier Polski Tadeusz Mazowiecki oraz kanclerz RFN Helmut Kohl. Miłośników architektury z pewnością zainteresuje odcinek Przewodnika Filmowego poświęcony miej-

scowemu pałacowi, a badacze lokalnej historii z zaciekawieniem obejrzą odcinek o rodzinie von Moltke czy Kręgu z Krzyżowej – tajnej organizacji antyhitlerowskiej, która spotykała się między innymi w Domu na Wzgórzu w Krzyżowej. Filmy można oglądać w dowolnej kolejności oraz



wybierać spośród nich interesującą dla siebie tematykę.

Filmowy Przewodnik stworzyli pracownicy Fundacji „Krzyżowa” i firma Fisheye Productions, a produkcję sfinansował Konsulat Generalny Niemiec we Wrocławiu. Z myślą o promocji Dolnego Śląska wśród

zagranicznych turystów każdy odcinek dostępny jest też w wersji z angielskimi napisami oraz w wersji niemieckiej. Wszystkie można obejrzeć bezpłatnie na:

history.krzyzowa.pl

Materiał prasowy Fundacji „Krzyżowa”



DOLNOŚLĄSKIE MUZEA

Dolnośląskie było w 2020 roku szóstym województwem w Polsce pod względem liczby muzeów i oddziałów muzealnych działających na jego terenie, po województwach: mazowieckim (143), małopolskim (101), pomorskim (90), wielkopolskim (86) i śląskim (83). W końcu roku w województwie działało 69 muzeów i oddziałów muzealnych, tj. o 4 mniej niż rok wcześniej. W porównaniu z 2019 roku zmniejszyła się liczba muzealiów będących w posiadaniu tych instytucji (o 12,1%) oraz liczba wystaw czasowych własnych (o 21,2%) i współorganizowanych (o 36,5%), a także liczba zwiedzających (o 63,7%).





Obostrzenia wynikające z pandemii spowodowały znaczące pogorszenie wskaźników dotyczących muzeów. Na koniec 2020 roku na Dolnym Śląsku najwięcej było muzeów historycznych (24), sztuki (11) oraz techniki i nauki (7). Najliczniej odwiedzane były muzea historyczne – 221,7 tys. (30,8%) zwiedzających.

W 2020 roku ponad 40% ww. instytucji funkcjonowało w obiektach posiadających wejście przystosowane dla osób poruszających się na wózkach inwalidzkich, a 37,7% – udogodnienia wewnątrz budynku.

Dolnośląskie muzea posiadały w swoich zbiorach 0,9 mln muzealiów, tj. o 12,1% mniej niż w 2019 roku i 40,0% mniej niż w 2010 roku było. Najczęściej reprezentowana wśród muzealiów była sztuka – 357,3 tys. (39,1%) i numizmaty – 177,7 tys. (19,4%). Pod względem liczby zgromadzonych muzealiów nasze województwo zajmowało 3. miejsce w kraju po mazowieckim (2,0 mln) i małopolskim (1,6 mln).

Instytucje muzealne zorganizowały 175 wystaw czasowych wła-

snych i 73 współorganizowanych, tj. mniej niż rok wcześniej odpowiednio o 21,2% i 36,5%. Pod względem liczby wystaw czasowych własnych dolnośląskie zajmowało 3. miejsce w kraju, a współorganizowanych – 2. miejsce w kraju.

W 2020 roku muzea i wystawy zwiedziło 721,0 tys. osób, tj. o 63,7% mniej niż w 2019 roku. Dało to 4. miejsce w kraju po mazowieckim (7,0 mln), małopolskim (3,3 mln) i pomorskim (1,7 mln). Na 10 tys. mieszkańców było 2,5 tys. zwiedzających (w kraju 4,3 tys.), tj. znacznie mniej niż przed rokiem (6,9 tys.). Dolnośląskie muzea i oddziały muzealne zorganizowały 4,4 tys. imprez oświatowych, tj. mniej o 68,4% niż w 2019 roku; na 10 tys. mieszkańców było 15 imprez (w kraju – 13).

W województwie dolnośląskim w 2020 roku działało ponadto 35 instytucji paramuzealnych, w tym 5 ogrodów botanicznych i 2 zoologiczne, które w ciągu roku łącznie zwiedziło 2,3 mln osób.

Opracowanie merytoryczne:
Urząd Statystyczny we Wrocławiu



Stacja Środa Śląska
fot. Piotr Weber, 18 sierpnia 2016 roku



CZY KOLEJ+ BĘDZIE NA DOLNYM ŚLĄSKU?

We wrześniu ubiegłego roku Zarząd województwa wskazał 5 kolejowych projektów do programu Kolej+. Ostatecznie 4 z nich powalczą o rządowe dofinansowanie w drugim etapie programu, a szacowany koszt ich realizacji sięga blisko 800 milionów złotych.

– *Planujemy przejść i przywrócić do życia jak największą liczbę linii kolejowych w regionie, co będzie możliwe m.in. dzięki programowi Kolej+. Chcemy skomunikować jak najwięcej miejscowości w województwie, tak by każdy mieszkaniec Dolnego Śląska mógł swobodnie i bez przeszkód poruszać się po regionie koleją* – mówi Cezary

Przybylski, Marszałek Województwa Dolnośląskiego.

Zarząd Województwa Dolnośląskiego w pierwszym etapie w 2020 roku wskazał do rządowego Programu Kolej Plus 5 projektów inwestycyjnych:

1. Poprawa jakości połączeń z Legnicy do Wrocławia na odcinku Środa Śląska – Wrocław. Projekt



zakłada wybudowanie infrastruktury kolejowej w obrębie Wrocławskiego Węzła Kolejowego na odcinku Wrocław Świebodzki – Wrocław Muchobór. Pozwoli to na uruchomienie nowych połączeń w ramach Wrocławskiej Kolei Metropolitalnej (WKM) na kierunkach Wrocław – Środa Śląska, Wrocław – Wołów oraz Wrocław – Jaworzyna Śląska. Przebudowie poddana zostanie też stacja Środa Śląska w celu dostosowania jej do kończenia i zaczynania biegu pociągów WKM.

2. Rewitalizacja odcinka Legnica – Złotoryja – Jerzmanice-Zdrój w celu włączenia powiatu złotoryjskiego i Złotoryi do sieci regionalnego wojewódzkiego transportu kolejowego. Rewitalizowany miałby być odcinek linii kolejowej nr 284 zarządzany przez Spółkę PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. Jednocześnie dzięki tej inwestycji możliwa będzie rewitalizacja dalszego odcinka linii nr 284 od Jerzmanic-Zdrój do Lwówka Śląskiego, który został przejęty na rzecz Samorządu Województwa Dolnośląskiego.

3. Poprawa jakości połączeń Dzierżoniowa i powiatu dzierżoniowskiego z Wrocławiem. Będzie to możliwe dzięki wznowieniu ruchu na linii kolejowej nr 310 Kobierzyce – Piława Górna, która jest własnością Samorządu Województwa Dolnośląskiego oraz odbudowie drugiego toru na odcinku linii kolejowej nr 285 pomiędzy stacjami Wrocław Główny a Kobierzyce.

4. Rewitalizacja linii kolejowej nr 181 na odcinku Oleśnica – Syców – Kępno (skomunikowanie Sycowa, Kępna, Wielunia ze stolicą Dolnego Śląska).

5. Rewitalizacja linii kolejowych stanowiących ciąg komunikacyjny Zgorzelec – Bogatynia (skomunikowanie Bogatyni ze stolicą Dolnego Śląska).

– Zgłoszone projekty wpisują się w realizowaną przez nas strategię rozwoju województwa polegającą na likwidowaniu barier komunikacyjnych oraz szybszemu komunikowaniu się pomiędzy poszczególnymi rejonami Dolnego Śląska. Na te inwestycje, jak uruchomienie



Coroczny „Pociąg Repatriantów” organizowany przez Stowarzyszenie
Miłośników Techniki Olsensium wyruszający w Oleśnicy do Kępna
fot. Wojciech Głodek; 23 kwietnia 2017 roku



Dworca Świebodzińskiego, od lat oczekują mieszkańcy regionu. Naszym celem jest skracanie dystansów i zbliżanie Dolnoślązaków – mówi Marcin Krzyżanowski, Wicemarszałek Województwa Dolnośląskiego.

W przypadku zarządzanej przez PKP PLK linii nr 181 na odcinku Oleśnica - Kępno wiadomo już, że PKP opracują studium wykonalności dla realizacji prac we własnym zakresie. Dlatego też ostatecznie Zarząd Województwa Dolnośląskiego do kolejnego etapu Programu Kolej Plus wskazał pozostałe 4 zadania inwestycyjne.

Warunkiem aplikowania do drugiego etapu programu Kolej+ było opracowanie dla nich studiów planistyczno-prognostycznych. Kolejnym krokiem będzie nawiązanie przez samorząd województwa oraz zainteresowane samorządy dialogu, którego przedmiotem będzie współfinansowanie wkładu własnego do inwestycji oraz późniejsze finansowania uruchamianych połączeń pasażerskich. Program Kolej Plus zakłada realizację inwestycji do 2028

roku i przewiduje dofinansowanie projektów w 85% przez państwo (PKP PLK) przy 15% wkładzie własnym zaangażowanych samorządów.

Wraz z opracowaniem planistycznym Samorząd Województwa Dolnośląskiego przekazał do PKP PLK projekty inwestycyjne. Teraz PKP PLK w ciągu trzech miesięcy ogłosi w skali kraju listę rankingową projektów inwestycyjnych. – *Dzięki Rządowemu wsparciu Kolej+ rozszerzamy ofertę kolejową Dolnego Śląska - takie są oczekiwania mieszkańców i my je spełniamy. Mieszkańcy zyskają nowe połączenia do pracy, szkoły czy do miejsc wypoczynku, a turyści łatwiejszy dojazd do wielu turystycznych atrakcji w naszym regionie –* dodał wicemarszałek Grzegorz Macko

Samorząd Województwa Dolnośląskiego, prowadzi projekt, który zakłada przejęcie od państwa - od PKP - ponad 20 nieczynnych dotychczas linii kolejowych o długości ponad 300 km na terenie całego Dolnego Śląska, a następnie ich renowację i przywrócenie na nich

połączeń pasażerskich. Ten ambitny projekt jest już zaawansowany, samorząd województwa dolnośląskiego przejął niemal wszystkie nieczynne linie kolejowe przewidziane w projekcie i prowadzi prace zmierzające do ich rewitalizacji.

Ostatnią przejętą i zrewitalizowaną linią kolejową jest trasa Dzierżoniów – Bielawa, po której od 2019 roku kursują pociągi Kolei Dolnośląskich. Aktualnie trwają też prace w terenie przy modernizacji linii Lwówek Śląski – Mirsk – Świeradów Zdrój. – *Zależy nam na ciągłym poszerzaniu kolejowej mapy Dolnego Śląska. Chcielibyśmy, aby Dolnoślązacy mieli jak najlepszy dostęp do kolei i łatwy dojazd do stolicy województwa. Dzięki Programowi Kolej Plus miejscowości takie jak między innymi Złotoryja, Dzierżoniów czy Syców zostaną włączone do sieci dolnośląskiego transportu kolejowego* – mówi Tymoteusz Myrda, Członek Zarządu Województwa Dolnośląskiego. [•]

Informacja prasowa Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego.



Bielawa Zachodnia / fot. Wojciech Głodek

Wrocław Nadodrze, pociąg Dolnośląskich Kolei Aglomeracyjnych do Jelcza-Laskowic
fot. Wojciech Głodek





DOLNOŚLĄSKIE KOLEJE AGLOMERACYJNE

Od 12 grudnia 2021 roku na trasie łączącej Wrocław, Czernicę i Jelcz Laskowice pojadą pociągi Dolnośląskich Kolei Aglomeracyjnych. Na razie będzie to 7 par pociągów, a we wrześniu przyszłego roku liczba kursów zostanie podwojona do 15 par każdego dnia.

– Zorganizowaliśmy pierwsze połączenie aglomeracyjne, które odciąży komunikację Wrocław. Tego oczekiwali mieszkańcy zarówno podwrocławskich gmin jak i samej stolicy Dolnego Śląska. Miesiąc temu dolnośląski sejmik podjął uchwałę w sprawie zorganizowania aglomeracyjnych połączeń kolejowych w regionie, a dziś jedziemy już pociągiem po pierwszej

trasie. To pokazuje, że poważnie podchodzimy do wszystkich naszych deklaracji – mówi marszałek Cezary Przybylski.

Połączenie do końca roku będzie finansowane przez samorząd województwa. Natomiast od stycznia roku 2022 połowę kosztów pokryje województwo, a druga połowa zostanie podzielona pomiędzy samorządy, przez które przechodzi



trasa - proporcjonalnie do długości linii w poszczególnych gminach.

– *Widzimy ogromne zainteresowanie połączeniami w ramach budowanej przez nas kolei aglomeracyjnej. Kursy z Wrocławia do Jelcza-Laskowic przez Czernicę to pierwsze takie połączenie w regionie, ale na tym oczywiście nie poprzestajemy. Będziemy dalej rozwijać dolnośląską kolej w oparciu o standardowe kursy, ekspresy regionalne i połączenia aglomeracyjne, docelowo tworząc spójną sieć, odpowiadającą potrzebom mieszkańców całego województwa – mówi Tymoteusz Myrda, członek Zarządu. – To bardzo ambitny plan, który konsekwentnie, krok po kroku, wcielamy w życie – dodaje.*

Nowa trasa to 17 stacji i przystanków, z czego aż 11 jest całkowi-

cie nowych. Koszt remontu linii kolejowej 292 wyniósł w sumie 126 milionów złotych, a 70 milionów pochodziło unijnego dofinansowania. W sumie długość linii wynosi 35 km, a jej trasa przebiega przez tereny trzech gmin: Wrocław, Czernica i Jelcz Laskowice.

– *Pierwsza linia Dolnośląskich Kolei Aglomeracyjnej bardzo cieszy i to wielki sukces, że finansowo partycypują w niej wszystkie samorządy, przez które przebiega linia. Wierzę, że otworzy to drogę do współpracy w całym województwie wokół największych jego miast i w Zagłębiu Miedziowym – mówi Piotr Karwan, przewodniczący Klubu Radnych Prawo i Sprawiedliwość w Sejmiku Dolnego Śląska. [•]*

Informacja prasowa Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego.





zbiorkomD





DOLNOŚLĄSKA BIBLIOTECZKA

Najlepszym towarzyszem aromatycznej kawy jest ciekawa książka. Nikt nie wyobraża sobie dłuższej podróży bez czegoś do czytania. Jeśli już przeczyta-
liście nasz magazyn i jesteście na bieżąco z naszymi blogami, to tu znajdzie-
cie propozycje - od beletrystyki po prace naukowe - czegoś do poczytania.
Wszystko związane z Dolnym Śląskiem.



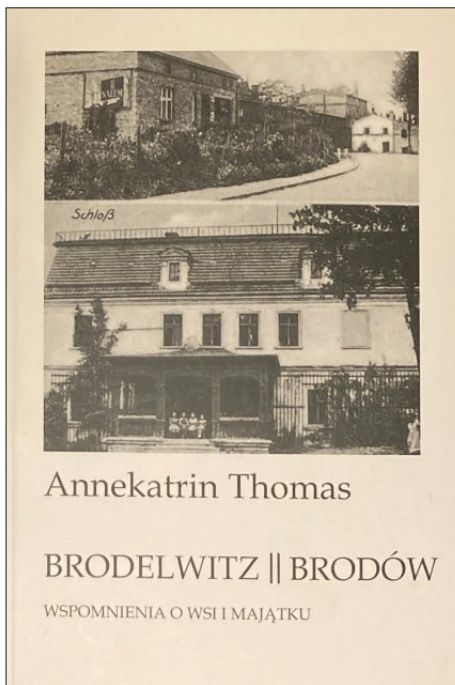
fot. autor nieznan / źródło: Fotopolska.eu/Polska-org.pl



Brodów to niewielka dolnośląska wieś położona w powiecie lubińskim, w gminie Rudna. Jej historii, zwłaszcza bezpośrednio poprzedzającej okres wojny i późniejszą zmianę granic, spisała w książce „Brodelwitz - Brodów. Wspomnienia o wsi i majątku” Annekatrin Thomas – urodzona we Wrocławiu w roku 1930 córka właściciela majątku w Brodelwitz (do 1945 roku), Wilhelma Teichmanna. W Niemczech książka ukazała się w roku 1996, na język polski została przetłumaczona dopiero niedawno, bo w roku 2020.

Czym jest w istocie ta publikacja? Jest podróżą w rodzinne strony dawnych mieszkańców, którzy opuścili je w roku 1945. Jest wspomnieniem i świadectwem dawnych dziejów miejscowości. Jest wreszcie cenną pamiętkę dla obecnych mieszkańców wsi Brodów i wszystkich interesujących się przeszłością nie tylko tej wsi, ale całego Dolnego Śląska.

Wspomnienia indywidualne z lat nieodległych mieszane są tutaj z historią z podręczników sięgającą czasów bardzo dawnych, a osobiste refleksje i doświadczenia są przeplatane fakto-



Annekattrin Thomas
BRODELWITZ | BRODÓW.
WSPOMNIENIA O WSI
I MAJĄTKU

2021

ISBN: 978-3-00-067282-8

230 stron, 128x180mm

oprawa miękka



graficznymi zestawieniami. Do tego dodać należy dużo zdjęć, rycin; przedruki map, schematów czy wykazu połączeń kolejowych.

Jest to niewątpliwie cenna publikacja, interesująca zwłaszcza dla tropicieli historii „Małych Ojczyzn”, którzy lubują się w odkrywaniu najdrobniejszych szczegółów z przeszłości. Frag-

menty szczególnie ciekawe to te, które opisują codzienną rutynę mieszkańców majątku i jego funkcjonowanie, dalekie od wyobrażenia „dworskiego” życia. Bardzo gorąco polecamy tę niesztampową publikację przede wszystkim tym, którzy chętnie sięgają po wszelkie zapisy losów dolnośląskich miejscowości sprzed II wojny światowej. [jk]

„Podróżnicy w Górach Olbrzymich” to książka znana już pewnie wielu miłośnikom regionu, których nie brakuje na pewno wśród naszych czytelników. Jeśli jednak jeszcze o niej nie słyszeliście albo słyszeliście, lecz później informacja ta gdzieś się wśród innych zagubiła, to zachęcamy do sięgnięcia po niezwykle, pionierską publikację Wydawnictwa Wielka Izera przygotowaną we współpracy z Schlesisches Museum zu Görlitz.

„Podróżnicy...” to antologia niemal czterdziestu relacji osób podróżujących po Karkonoszy i Górach Izerskich w okresie od końca XVII do początku XX wieku. W publikacji znajdujemy re-

lacje z wędrówek po dolnośląskich i łuszyckich górach, szczegółowo opisujące możliwości i warunki takich podróży (pożywienie i noclegi), a także spotkania z ludźmi w różny sposób z górami związanymi (wśród których znaleźli się m.in. gospodarze schronisk i poprzedzających je baid, leśnicy, drwale, ale także – przemysłowcy).

Każda relacja jest inna, bo napisana przez kogoś innego, innym – bo z różnych lat pochodzącym - językiem. Każdy z nich na czymś innym skupia uwagę, ale dzięki temu otrzymujemy bogaty i barwny obraz Gór Olbrzymich i ich mieszkańców: strojów, jakie noszą, potraw, które warzą i zwyczajów,

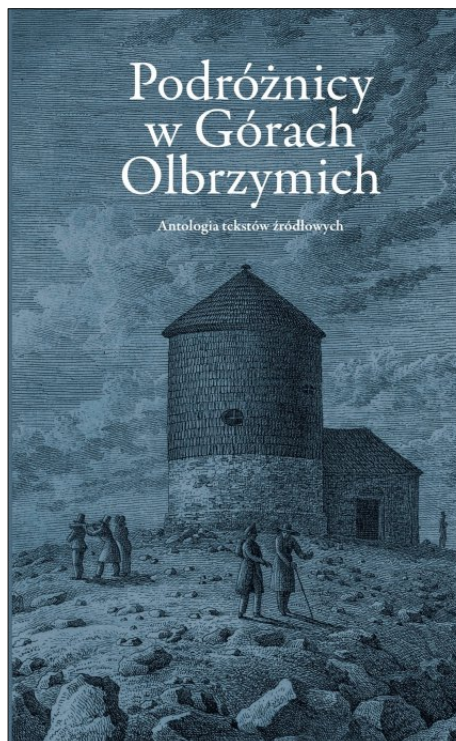


którym hołdują. Jest też sporo krajobrazów, choć zaznaczono, że część tych krajobrazowych opisów została skrócona przez tłumacza. Ten zresztą w sposób barwny tłumaczy, jak to się stało, że „Podróżnicy...” w ogóle pojawili się na rynku wydawniczym. To też ciekawa historia.

Na uwagę zasługują także przedmowy, które napisali dwaj znawcy Gór Olbrzymich: Ullrich Junker, potomek mieszkańców osady na Kobyłej Łące, i Henryk Waniek, pisarz i malarz, którego każdy utwór też jest swoistą wędrówką.

Na uwagę zasługuje również szata graficzna i to, co w ostatnich latach coraz rzadziej spotykane: staranna edycja i korekta, dzięki którym książkę można po prostu ze smakiem czytać, nie potykając się co rusz na błędach edycyjnych lub korektorskich niedociągnięciach.

Fantastyczna lektura dla każdego, komu Karkonosze i Góry Izerskie nie są obojętne. Bardzo wszystkim polecamy – spójrzcie na znane sobie miejsca oczyma podróżników sprzed 200 – 300 lat i odkryjcie je na nowo. [jk]



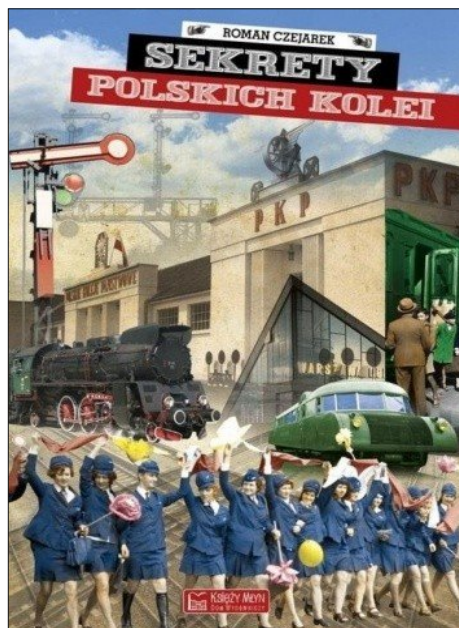
PODRÓŻNICY W GÓRACH OLBRZYMICH. ANTOLOGIA TEKSTÓW ŹRÓDŁOWYCH

Wydawnictwo Wielka Izera 2020

ISBN: 978-83-952293-6-7

412 stron, 130x215 mm

oprawa twarda



Roman Czejjarek
SEKRETY POLSKICH KOLEI
Wydawnictwo Księży Młyn 2019
ISBN: 978-83-7729-379-9
144 strony, 165x235 mm
oprawa twarda

Kolej to modelarze, szerokie i wąskie tory, stacje przystanki, lokomotywnie, tunele oraz wiadukty i mosty. To także znane filmy i seriale. Książka ta opowiada o kolejowych sekretach, zagadkach, rzeczach znanych, ale też i tych, które dawno odeszły w zapomnienie. Ujawnia to, co przed długie lata skrzętnie skrywano. Opowiada historie z czasów, gdy PKP przeżywały okres swojego największego rozkwitu zatrudniając ponad 360 tysięcy ludzi oraz z czasów nam bliższych oraz czasów nam bliższych, gdy z dawnej świetności pozostały już tylko legendy.

Jej autorem jest Roman Czejjarek, znany dziennikarz radiowy i telewizyjny. Z mikrofonem i aparatem wiele razy przemierzył Polskę. W 2019 roku otrzymał nagrodę dla najlepszego dziennikarza turystycznego m.in. za audycje ze skansenów kolejowych.

Odwiedził też oczywiście Dolny Śląsk i choć historii z naszego regionu znajdziecie w tej książce zaledwie kilka, to na pewno warto do niej zajrzeć. Przeczytacie tutaj o historii linii kolejowej nr 286 i wypadku w tunelu po Małym Wołowcem czy o znajdującej się w Jaworzynie Śląskiej drezynie M20 Warszawa. [km]



Wśród wydawniczych poleceń przypominamy książkę Ryszarda Filipowicza - żołnierza AK, który urodził się w Wilnie, a w roku 1945 przybył wraz z rodziną do Wrocławia, w którym dorastał i mieszkał do końca życia. To wspomnienia Autora, które rozpoczynają się w listopadzie 1945 roku, kiedy Wrocław dopiero zaczynał podnosić się z (po)wojennych gruzów.

Autor przez pryzmat osobistych losów nakreślił losy Dolnego Śląska, a przede wszystkim jego stolicy w okresie po II wojnie światowej. Interesująca, bogata treść książki stanowi odzwierciedlenie interesującego i bogatego życia Autora: był żołnierzem Armii Krajowej, więźniem NKWD. We Wrocławiu zdał maturę, studiował w Uniwersytecie Wrocławskim. Poza pracą zawodową angażował się w różne aktywności: szybownictwo, turystykę i opiekę nad zabytkami (był tzw. społecznym opiekunem zabytków). Był także wielkim miłośnikiem fotografii. Mimo upływu lat pozostawał aktywny – od 2012 do 2018 roku kierował Zarządem Okręgu Dolnośląskiego ŚZŻAK i redagował jego biuletyn, pozostając jego honorowym prezesem aż do śmierci w roku 2019.



Ryszard Filipowicz
Z ROZSTRZELANEGO MIASTA

Via Nova

Ryszard Filipowicz
Z ROZSTRZELANEGO MIASTA

Wydawnictwo Via Nova 2019

ISBN: 978-83-64025-36-5

448 stron, 147x212 mm

oprawa twarda



Książka ma charakter autobiograficzny, jednak Autor swoje losy odtworzył na tle Wielkiej Historii. Cenne są zapisy nie tylko z pierwszych powojennych miesięcy Wrocławia, ale także kolejnych lat i dziesięcioleci. Czytając, spacerujemy po Wrocławiu, ale podróżujemy także po całym Dolnym Śląsku, po Polsce, a od czasu do czasu wyjeżdżamy też poza granice naszego kraju.

Każde wspomnienia są warte zanotowania. Każde malują nam świat, którego już nie ma i który już nie powróci, a który ma ogromne znaczenie

dla wszystkiego, co dzieje się dzisiaj. Osobiste refleksje na tematy, które większość z nas zna jedynie z kart książek historycznych, stanowią zawsze interesujące świadectwo na temat przeszłości, dawnych wydarzeń i ich interpretowania przez osoby w nich uczestniczące. Ich emocje i doświadczenia pozwalają nam pełniej poznać przeszłość i zrozumieć, że historia nie jest nauką ścisłą. Książka ta przybliży Wam najnowszą historię Wrocławia i Dolnego Śląska, a unikalne fotografie przeniosą Was w czasy minione. [jk]

Który to już przewodnik po Dolnym Śląsku, jaki polecamy w naszym kwartalniku? Trudno się doliczyć, było ich bowiem sporo, jednak nam nigdy się nie nudzą. Każdy kolejny wnosi coś nowego, coś dodaje, w inny sposób ujmuje, wyjątkowymi trasami przez region prowadzi.

Dzisiaj mamy „Dolny Śląsk. 99 miejsc” autorstwa Beaty i Pawła Pomykałskich, którzy przygotowali wizytówki 99 miejsc tajemniczych, niezwykłych, ciekawych lub pięknych, jakie można na Dolnym Śląsku odwiedzić.

Każdy z obiektów opisywany jest według jednolitego schematu: zostaje wskazany jego adres i nazwa, lata budowy i architekt, który za projektem danej budowli stoi, a także informacje o przebudowie. Przewodnik jest pięcioletni – poza polskim wszystkie informacje prezentowane są w językach: angielskim, niemieckim, czeskim i ukraińskim. Układ obiektów jest alfabetyczny (według nazwy miejscowości, w której się znajdują).

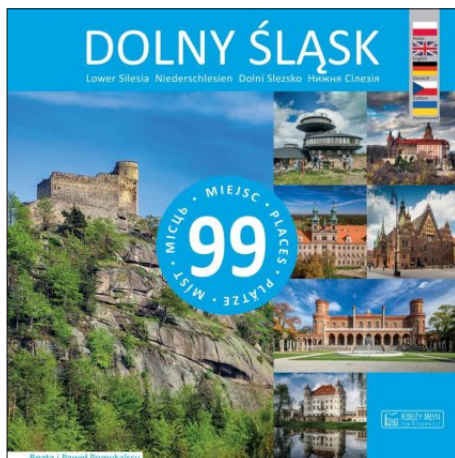
Największą rolę odgrywają w przewodniku zdjęcia. O ile Beata Pomykał-



ska odpowiada za warstwę treściową, o tyle za te wszystkie przepiękne fotografie (a także za skład całości) – Paweł Pomykalski.

Jakie obiekty znajdziemy w publikacji? Między innymi: Most św. Jana nad rzeką Młynówką w Kłodzku, dawny pałac królewski w Mysłakowicach (w którym obecnie mieści się szkoła podstawowa), dawny Dom Towarowy Schocken (dzisiejszy Dom Handlowy Chelmelec) w Wałbrzychu czy dworzec kolejowy w Węglińcu. Poza obiektami dawnymi, zabytkowymi, umieszczono w publikacji także miejsca całkiem współczesne, których zwykle w przewodnikach nie znajdujemy, jak np. Letnia Business Center w Legnicy czy Galeria handlowa Victoria w Wałbrzychu.

Przewodnik inspirowany do zwiedzania Dolnego Śląska nie tylko szlakiem zabytków, ale także obiektów powstałych stosunkowo niedawno. Z pewnością może stanowić inspirację do wytyczania całkiem nowych szlaków turystycznych, prowadząc nas w miejsca nieoczywiste. Dla tych zaś, co zwiedzać wolą palcem po mapie, z pewnością będzie stanowił interesujące uzupełnienie „zdalnych” podróży, zachwycając fotografiami. [jk]



**Beata Pomykalska
Paweł Pomykalski
DOLNY ŚLĄSK 99 MIEJSC**

Wydawnictwo Księży Młyn 2021
ISBN: 978-83-7729-562-5
156 stron, 220x220 mm
oprawa twarda

NASZE NOWE PRZEWODNIKI!



PRZYSTANEK ● KULTURA

DOLNY ŚLĄSK

#ODKRYJDOLNYŚLĄSK

Koleją i autobusem
PO DOLNYM ŚLĄSKU



JELENIA GÓRA I KARKONOSZE • WALBRZYCH I GÓRY SUCHE
DOLINA PAŁACÓW I OGRODÓW
ŚWIDNICA I GÓRY SOWIE • LUBAŃ I GÓRY IZERSKIE